

Antoni Lange

Wybór poezji

Lwów

Biblioteka

Knósti

350-351

ANTONI LANGE



WYBÓR POEZYJ



[1869]

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.



101891

Tegoż autora

wyszły dzieła następujące:

Pogrzeb Shelleya, poemat (Warszawa 1890).

Poezye. Część I. (Kraków 1895).

Poezye. Część II. (Kraków 1898).

Studia z literatury francuskiej. (Lwów 1897, Mrówka).

Kwiaty Grzechu, przekład z Bandelaire'a. (Warszawa 1894).

Dwie komedye Szekspira. Tom VIII edycji lwowskiej.

wkrótce wyjdą:

Poezye. Część III.

Studia i wrażenia, szkice literackie.

R Y M

(Do jednej pani, która ganiła moje rymy zbyt proste).

I.

A więc nie lubi pani mych rymów, zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Swiećąc jako potrójnie złożony akrostych —
Rymy, powiązanemi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzką, jak perłę szczeżują.
Rym to niebo i słońce, to piekło i erob:
W nim muzyka istnienia — jakby echem buja.
Im melodia bogatsza — pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hijacynie —
A pieśniarz, mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płyńcie ze mną, płyńcie!
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab splecion,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli:
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wrzecion,
Gromada nimf, złocistych od złocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem me szczęki kutych w ogniu żelaz,
 A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;
 Czasem — zda się — jak bogów pełna Anafielas —
 Lub samotna pustynia proroków hebrajskich.
 Są rymy, które dzwonią jak rycerski brzeszczot,
 Są rymy, które huczą jak miedziane gongi,
 Które tchną pocałunków zapachem i pieścot;
 Są — zda się — marmurowe jak greckie posągi,
 Są rymy tak szalone, jak skoczne fandango;
 Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł;
 Są, które pachną piżmem, żywicą, hidrangą,
 Są — rzekłbyś — jako bogów widomy awatar.
 Rym to wszystko: melodia, zapach i koloryt,
 Myśl, forma, bicie serca. Słuchaj ty, co śpiewasz:
 Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, rifierit
 Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
 Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
 Bo czemuż zielenieje w rymie pól aksamit?
 Huczy wichur, żeś gotów w duszy swej się przelać?
 Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
 Przeto, że trochę i forma są jak brat ze siostrą:
 Niech ci żadne nie będzie jako pan lub murzyn,
 I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
 Niech płyną jak dwa duchy gwu bliźniaczych drużyn.
 Wiem! Kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
 Potężny, jako włócznia; cenny jako szmaragd;
 Jasny, jak kryształ; rzewny jako pieśni El...ych,
 A tęczami płonący, jak strugi katarakt.
 Świat rymów jest tak dla mnie jak gotycki kościół,

Którego szczyt niebieskich — rzekłbyś — sięga posów;
 Żyłem w nim, ale duch mój na dwoje się rozciął
 I słucham teraz nowych niespodzianych głosów.

III.

Pierś mi stawił zatruty mego wieku rozczyn —
 Duch zmęczony, że sam-by pragnął siebie przerość,
 Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wioszczyń,
 Gdzie, pod lip starych cieniem. kwitnie złota szczerokość,
 Znudzily mnie zawroty tej abrakadabry —
 Prostoty chcę, zieleni wśród lasów i opól:
 Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie habry,
 Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
 I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mnie urzekł
 I stanąć odrodzony wśród zielonych muraw,
 I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wrózek
 Lub ulecieć nad pola jak swobodny żóraw.
 I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
 Wsłuchać się w tajemnicze borów Zendawesty,
 I jak jaskółka spadać na prostaczy świren
 Lub kwitnąć, jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
 I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
 Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś stuleciu ziemia,
 Którą pszczoł roje brzęczą wśród gryk i koniczyn,
 I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
 Bo wierzę, że w tych szumach żyje boża czeladź
 Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
 Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać
 W treść istot, z którą w końcu duch się utożsami.
 Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,

Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
 Bym, pojawiwszy natury prostotę i przepych —
 Jak ona lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pelza,
 I żem opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
 Lecz moja dłoń Pegaza swego sama kielza:
 Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
 Kochałem perły rymów. Poznałem najrzadsze
 Klejnoty mowy bogów i najśłodszy zapach
 Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzy teatrze
 Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
 Ale dzisiaj już rymy dobieram najprostsze,
 Po Edenie płaczący jak po synach Rizpah —
 Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze
 I spoglądam w tę stronę, gdzie odrodzeń wyspa.
 Więc nie dziw się, że u mnie nie napotkasz częstych
 Rymów, wyświętecznionych w brylantach i perłach.
 Są, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz ja drwię z tych,
 Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierlach.
 Więc rzucam wszystek ciężar — i chcę na gołoledź
 Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą,
 A duch jakiś mi szeptce: Poleć w górę, poleć!
 I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezję ularwi:
 Poezya dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin,
 A każda ciemna fala uda falę Narwi

I dzisiaj sztuka rymów, to nuta mandolin.
 Jest *tralala* na wszystko — formuły, algebra —
 W legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,
 I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
 A łatwo tak, jakby to był walc lub oberek.
 Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
 Niepamiętni światowych złocen i uszercień,
 W leśnej głuszy słuchają śpiewu makolągiew,
 Szukając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścien.
 Chwała wam, o pieśniarze, bólu wychowańce,
 Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
 I : najdujecie w liliach jad i krew w sielance:
 Przed wami wciąż przepelnion stoję i ukorzon.
 Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
 Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen,
 Bo im już przerąbano oddawna te gąszcze,
 Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze sylen.

VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
 Lubię słuchać, jak szumią oceanów larga,
 Jak płaczą nad Tytanem chóry Oceanid,
 Gdy Jowisz się nad nimi piorunami jarga.
 Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiękwszy
 Rym, jaki nam gęślarze zostawili dzicy —
 Pierwotni — lub ów pieśniarz najprostsz, największy,
 Wojciech Święty, co śpiewał o Bogarodzicy.
 Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
 Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
 Lecz duszę miał czującą i wzrok jak ostrowidz

I jędrnych słów na gładkość cukrzoną nie wytarł.
 Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza --
 I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
 Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
 I drgał podziw i zapał, śmiech i płacz i przestrach.
 Białą wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
 Heksamet, z ilionowych wzięty wykopalisk;
 Jak pantera, wygięta w skok — strofa alcejska:
 Oto, co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

VII.

A ty, wieszczu, nim przyjdzie dni twoich odwieczerz,
 W górę pływ, jako czujny ideału żniwiarz —
 I waż, czyli wyroczone słowa swe wyrzeczysz —
 I czy nakazem bożym wolę swę ożywiasz.

A kiedy się zabłąkasz śród życiowych bezdróż —
 Pogardę miej dla chwały, dla śmiechów i zniewag —
 I z żadną tu na dole nicością się nie združ —
 Spokojny, jako z siebie świat rodzący śpiewak!

NA ŚWITEZI.

I.

W dal toczy Świteż — w jasną dal
 Zwierciadło swe olbrzymie.
 U świętych fal jej — świętych fal
 Uklęknij, o pielgrzymie!

Srebrzyste, czyste, płynne szkło
Roztacza się okręgiem,
I z cichym szumem fale mkną
A mkną pod widnokręgiem.

Zielony bór — odwieczny bór,
Szumiących drzew szeregi,
Świątyni Boga żywy mur
Jezioru wieńczy brzegi.

A fala myje brzegu stok
I drzewom pieśni śpiewa,
I nęci — nęci w głąb a w mrok,
Aż w głąb się chylą drzewa.

Lustrzana — gładka płynie toń,
Lecz marszczą jej równiny,
W zielony włos jej zdobiąc skroń
Wysokie — giętkie trzciny.

I toczy Świtez w jasną dal
Zwierciadło swe olbrzymie.
U świętych fal jej — świętych fal
Uklęknij, o piełgrzymie!

Bądź pozdrowioną świętych wód,
Srebrzystych wód równino!
Zkąd boskich pieśni rozgrzmiął cud,
Co w nieśmiertelność płyną.

Z fal, kołysanych w śpiewny ruch,
Pieśń idzie tajemnicza:
W powietrzu święty płynie duch,
Duch święty Mickiewicza!

II.

Bo tu jest Częstochowa, tu jest święta Meka
Pieśniarzy, którzy przyjdą zbliska i zdaleka —
Przyjdą tłumem ogromnym — w pielgrzymce pobożnej,
Aby uczyć modlitwą owy duch wielmożny.

Wielmożny duchu pieśni, coś przeniknął wzrokiem
Naturę, ty naturą byłeś sam: obłokiem —
I powietrzem — i orłów pogwarem skrzydlatych —
I byłeś szumem starych dębów rosochatych.

I byłeś szmerem złotych pól — i puszczy łoskotem,
Rykiem burz — wschodów słońca purpurowem złotem,
I byłeś siołem, puszcza, słońcem, niebem, wodą,
I księga twa nie księgą już, ale przyrodą!

Tyś nauczył nas mowy tajemniczej borów
I pieśni głębin jezior i nieba przestworów;
Tyś, błądzącym za palmą pustyni bezowocnych,
Objawił nam ukryte cuda puszczy północnych.

Echo wiosny jedynej na ten wiek ponury,
Wcielenie wszech plemienia soków i natury,
Ojciec nasz — w każdym kwiatów malowanych puchu
Obecny — chwała tobie, o wielmożny duchu!

Wielmożny duchu pieśni, chwała ci wieczysta,
Bo tworzysz z tychże źródeł, z których Bóg korzysta,
A kto się w twojej księgi pograży krynice,
Temu nikną natury i sztuki granice.

O sztukmistrzu, tem wyższy nad inne sztukmistrze.
Żeś sztukę zlał z naturą w braterstwo najczystsze,
Żeś razem był natury piersią i narzędziem:
My, pieśniarze, cię wiecznie wielbić tutaj będziem!

POWIEŚĆ

O WALIGÓRZE I WYRWIDĘBIE.

URYWKI Z POEMATU

Z CZĘŚCI I.

W dni zamierzchłych tajemniczej mgle,
W mrocznych lasach, pod wyniosłą górą,
Wyrastali, jak dwa dzikie pnie,
Bracia dwaj: Wyrwidąb z Waligórą,
Jak dwa żubry albo sosny dwie.

Mieli ciemny włos, błękitny wzrok,
Mieli barki silne, jak dwa woły,
A gdy szli, tak rączy był ich krok,
Że myślałeś — lecą dwa sokoły,
Lub dwie giemzy lekki niosą skok.

Mieli postać, jak olbrzymy dwa,
Nieulekłe, dzikie, muskularne,
Którym w żyłach krew jak płomień gra —
I okryci w skóry bydląt czarne
Szli na wilka, niedźwiedzia i lwa.

I wysoko nieugięty kark
Unosili, jak obronną wieżę,
I potęgą swych żelaznych bark
Ochraniali swe obszerne leże,
Gdzie nie znano ani łez, ni skarg.

Byli cisi. Lecz, gdy wrzał ich gniew,
Drżały dęby i chwiała się góra,
I Wyrwidąb ryczał jako lew,
A jak tygrys ryczał Waligóra,
I ich lica rumieniła krew.

A władały dwa te silne lwy
Nad krainą wielką i olbrzymią:
Od północy, gdzie lodowe kry,
Od tych puszczy, gdzie stare sosny drzemią,
Aż pod sinych gór nieznane mgły.

Od tych wysp, gdzie święty rośnie dąb,
Po ten stęp, co trawą się zieleni,
Po tę morza tajemniczą głąb,
Co się srebrem i szafirem pieni —
Z Waligórą władał Wyrwidąb.

Żaden inny nie władał tu pan,
Tylko Wyrwidąb i Waligóra:
Nie obłana krwią granicznych ran
Uśmiechała się młoda natura,
Złotem zbożem kołysał się łan.

Pnie swych dębów dwustuletnich bór,
Niby dzieciom, dawał im na chaty;

Sól i miedź im niosła głębia gór;
Skóry niedźwiedź dawał im kosmaty,
Koń swój grzbiet, a rogi swoje tur.

Turzym rogiem słodki pili miód:
W cieniu dębów stały barci pszczelne,
I dwa lwy, skończywszy dzienny trud,
Napelniali czary swe weselne,
Sycąc krew swą krwią bawolich ud.

Gdy się rankiem budzili ze snów,
Naprzód pługiem zaorali łany.
A potem szli, niby para lwów,
Bić niedźwiedzie, wilkom krwawić rany —
I z łupami powracali znów.

Waligóra w ciemnych piersiach skał
Toporami przerąbywał grotty,
Albo drogi — proste jako strzał,
Albo schodził w podziemiów ciemnoty,
By zdobywać świat kruszcowych ciał.

A Wyrwidąb mocą swoich rąk
Buki, dęby w lasach rwał z korzeniem;
Chwilę ziemia pusta była wkrąg,
Ale wnet pod świeżem wiosny tehnieniem
Lśniła zbożem pól i kwieciem łąk.

Waligóra z tych podziemnych dróg
Tajemnicze wydobywał skarby
I wytaczał z nich kosę i pług;

A Wyrwidąb ziemię ciął nim w garby,
Co zajaśnieć miały w zboża stóg.

A gdy Wyrwidąb druzgotał las,
Waligóra zbierał sosen bele,
Zbijał w szereg jedną z drugą wraz
I budował białych chat pościele
Dla swych niewiast, swego życia kras.

I gdy słońca purpurzył się skon,
Szli do chat swych ciepłych dwa olbrzymy,
Aby spocząć u śnieżystych łon
(Choć śnieżystych, lecz nie śniegiem zimy)
Ukochanych złotowłosych żon.

Złoty włos ich lśnił jak złoto zbóż,
W oczach fala rzek płynęła modra,
Na obliczu był rumieniec róż,
I z marmurów ramiona i biodra,
A pierś twarda była jak dwie grusz.

Dusze, obce niespokojnym snom,
Jako głębie były przeźrocyste;
Nie wiedziały, co nie srom, co srom,
I półmagie chodziły a czyste —
I czystością ich promieniał dom.

Taka cisza płynęła z ich czół,
Ze się od niej weseliły dusze,
I zuchwalec, patrząc na nie, czuł,
Ze we własnej skąpałby się jusze,
Choć nie znały przysiąg ani stuł.

A gdy przyszedł ślubnej nocy szal,
To płonęły ogniem ich uściski,
Każdy muskuł, każdy nerw ich drgał,
Wirem huczał potok krwi ich wszystkiej,
Pocałunek każdy lawą wrzał.

Toż z radością przyglądali się
Wyrwidąb i olbrzym Waligóra,
Jak rój dziątek bujał całe dnie:
Jak gołąbka była każda córa,
A syn każdy był jak młode lwię.

Czasem ognisk rozpalili żar
I spijali miody w turzych rogach —
I rozbrzmiewał naokoło gwar:
I mówili o podziemnych drogach,
Gdzie wciąż nowy odkrywali czar;

Lub o lasów tajemniczych mgłach,
Gdzie się kryje tyle stworzeń żywych;
Lub o widmach, co widzieli w snach,
Czasem miłych, a czasem straszliwych;
Lub o łowach, o wilkach i lwach.

Albo w gwiazdy na błękitów sklep
Spoglądali zdumieni, ciekawi,
Jakich duchów zamieszkuje szczep
Świat ten dziwny, dokąd klucz zórawi
Zda się lecieć jesienią przez step?

I przychodził do nich stary dziad,
Ślepy lirnik, mądry, siwobrody;

Czarę miodu wychyliwszy rad,
 Gdy rumieńcem błysły mu jagody,
 Opowiadał dzieje dawnych lat.

Albo mówił, jakie cuda lśnią
 Za górami, w ziemiach oddalonych;
 Lub, czytając poza tajną mgłą
 Dni przeszłości jeszcze niezrodzonych,
 Prorokował. Wieszczem zwano go,

A Derwidem starzec sam się zwał,
 W ręku nosił harfę złotostrunną. . .

Z CZĘŚCI II.

Słów mi dajcie, jako młoty. Rymów
 Tak potężnych, jako gromów huk,
 Bym opiewał boje tych olbrzymów,
 Szczęk żelaza, łunną czerwień dymów,
 Jęki, rzenie koni, wycie suk. . .

Niespokojne, rojne lecą żuki,
 Niespokojny ómów ulata rój. . .
 Złowróźebnie zakrakały kruki,
 Złowróźebnie zaszczekały suki,
 Przeczuwając straszny jakiś bój!

Krwawe słońce, niby łuna świeci,
 Aż się ciemny poczerwienił bór!

Czarny obłok od zachodu leci,
Kłos i trawa pada w rdzy a śnieci! . . .
Co to będzie? Wojna albo mór!

Hejże, idźmy, a patrzmy się czujnie,
Co tam w dali, co za wir a kurz,
Niby złotych zbóż wyrosłych bujnie
Łan, co kroczy — jako ława — spójnie. . .
Kto i kiedy widział pochód zbóż?

Tfu! niech zginie mara, — łan, co lezie!
Nie łan ci to, ale włóczeń huf:
Hufem idą nieznani witezie,
Zakowani w stali i w żelazie,
Zapowiedzią sieroctwa dla wdów!

Promieniały zdała złote włócznie,
Niby słońce, które stoi w krwi,
Iż się zdało — złotą widzisz jutrznię
I dzwoniły i chrzęściały hucznie,
Niby dzikiej pieśni takt. Więc szli. . .

Szli we złocie i srebrze i stali,
W purpurowych i błękitnych skrach
I srebrnemi mieczami błyskali,
Szli, jak bogi, co przynoszą z dali
Nowe świty, łyzy i krew i strach.

Szli w stubarwnej tęczy pióropuszków,
Z tarczmi, w wieńcu różnolitych szarf,
A na tarczach widma złych geniuszów,

Znaki z Lichem zawartych sojuszków,
Małowidła opiekuńczych larw.

Pył się wznosi. to znowu opada,
A widziadło znika jako mgła;
To ze mgły się wychyla gromada
Obcych mężów — raz półsennie blada,
Raz promienna — jak słoneczna skra.

Coraz dalej huf rycerzy idzie,
Las proporców wciąż promienniejsz lśni!
Spójrz na lud swój, wielki Światowidzie,
Proroczyłeś prawdę, o derwidzie!
Toż zapowiedź turm, i łez, i krwi!

Hej, olbrzymy coście szli w zawody
Z wichrem puszc — i głodem wilczych kłów
Dziś wam ruszyć na nieznane gody:
Idą ku wam obce wojewody,
Idzie ku wam sturamienny huf!

W czarnym gniewie patrzy Waligóra
I Wyrwidąb! Najezdnicza óma
Idzie ku nim, jak piorunna chmura
Gorsza wilka, niedźwiedzia i tura:
Hej, zarykną jako gromy dwa!

Dawno gadki chodziły po ziemi
O rycerzach, którzy idą w świat —
I, mieczami walcząc stalowemi,
Nowe kraje dłońmi skrwawionemi
Na zwaliskach dawnych stawiają chat.

Gdzie swobodne były sioła kmiece,
 Dzisiaj włąda najezdniczy kneź,
 Który hańbić śmie łoża kobiece
 I rozpędza dawne mężów wiece
 I na rabów zmienia każdą wieś!

Upadały starodawne bogi,
 Na ich miejscu stawał nowy bóg;
 Upadały proroki trójnogi,
 Nowy zakon ogłaszały wrogi:
 Zaś opornym młot czerepy tłukł.

Tam, gdzie wspólna była dawniej gleba,
 I gdzie wspólny był żniwiarzy plon,
 Dziś są działą chat — i pól — i chleba —
 Dziś są działą słońca, lasu, nieba;
 Pokrwawili ziemię ze wszech stron!

O naturo, płodna ty macierzy,
 Miłosierna matko dusz i ciał!
 Czy ci nie żal tych puszczy bez rubieży
 I tej wody, co jak rozlew bieży,
 I tych wolnych, niebotycznych skał?

I tych ludów w tobie rozkochanych,
 Co bez więzów żyły wśród twych gór —
 I nie znały granic krwią zalanych,
 Ani znały żadnych praw pisanych,
 Ani żaden nie chronił ich mur?

Hej, naturo, rannem swoim łonem
 Wzywaj syny! Zbudź ich ze snu, zbudź!

Obce pany przyjdą z swym zakonem,
 Na opolu siędą spustoszonem —
 Przeciw wrogom, jak wichry ich rzuć!

Aż zadrżała zdumiona natura
 Od tententu i od huku trąb:
 A rycerstwo grzmi donośne hura!
 Aż się podniósł olbrzym Waligóra,
 Aż się podniósł olbrzym Wyrwidąb.

Ni to żubrów zebrały się stada,
 Ni to orłów zgromadził się rój;
 Waligórów to mężnych osada,
 Wyrwidębów to mężnych gromada —
 Wstał cię bronić, naturo, syn twój!

Jedni wyszli z borów swoich ciemnych
 I od złotych wyoranych pól;
 Drudzy wyszli z kopalni podziemnych,
 Kędy kruszczów szukali tajemnych:
 Tak macierzy rozrzewnił ich ból!

I niewiasty chwyciły żeleźce,
 Jako lwice ku obronie lwiać;
 Pacholęta szły też między jeźdźce,
 By zasłonić święte bogów miejsce:
 I tłum cały zlał się w jeden prąd.

Był ci z nimi gęślarz siwobrody,
 Stary Derwid, ów wygnaniec król,
 Co się tułał pomiędzy narody:

On na lutni śpiewał im rapsody,
Głosząc świętość lasów, gór i pól!

Ożywiona duchem bohaterstwa,
Przyodziana w strój z niedźwiedzich skór:
Szła ta tłuszcza twarda, dzika, czerstwa
Na te lufy obcego rycerstwa:
Szła od lasów, od pól i od gór!

Ku zielonej, ku wielkiej równinie,
Którą słońca opromienia żar;
Ztąd witezie w stalowej drużynie,
Ztąd tłum kniecy — jako fala płynie:
Słysząc groźny przedbojowy gwar!

Na szerokiem polu, na zielonem,
Które słońca opromienia żar —
Jako wichru łono z wichru łonem,
Jak wir mórz z wirem morza szalonym.
Tłum się jeden z drugim tłumem zwarł!

VOX POSTHUMA.

Następującego wiersza następujące są dzieje. Jest to pieśń ostatnia przyjaciela mego, Janusza X..., którego pisma w niedługim może czasie opublikowane będą, a którego nazwisko do czasu w tajemnicy zachowaniem być musi. Janusz wręczył mi ten wiersz przed śmiercią, którą, po dość bezładnej i burzliwej młodości, własnowolnie sobie zadał. -- Na-leżał on do szeregu t. zw. *zmarowanych* (dla sentymentalnych dziennikarzy piękny temat do elegijnych nekrologów); pewna zuchwała samowola, która mogła się wydawać zarówno rozczochranieniem, jak oryginalnością — cechowała jego nieliczne pisma, po większej części nieznanie i zapewne z powodu tej samowoli niegościnnie w prasie przyjmowane.

Co skłoniło Janusza do rozpaczliwego kroku, którym życie zakończył, nie wiem i nie widzę, aby sprawę tę badać tu było potrzebnem. Zda mi się jednak, że przyczyny szukać wypada nie tyle w zewnętrznych okolicznościach jego ciężkiego życia, ile raczej w rozstroju jego systemu nerwowego, w psychicznem, organicznem jego rozdzieleniu, w objawach choroby wieku.

Publiczność sama oceni wartość pośmiertnego pisma mego przyjaciela. Nie można powiedzieć, aby autor w manifestie swym jasno się tłumaczył. Rzecz sama jest z gruntu egotyzną; ponieważ jednak autor zarazem daje pewne uogólnienia, noże ona być nie bez interesu dla powszechności. O ile wolno ni słowa jego interpretować — zdaje się, że zamierzał on wyobrazić psychologię dzisiejszego pokolenia; nadto dostrzegamy tam pewne rzuty w stronę generacji poprzedniej, jakby

niewyraźna zapowiedź konfliktu dwóch pokoleń, które zaczy-
niają się nie rozumieć.

Jako wykonawca testamentu i jako wykonawca niniej-
szego wiersza, uważałem dodanie tych kilku słów za konie-
czne do wyjaśnienia utworu mego przyjaciela ¹⁾,

Paryż, 1889.

A. L.

* * *

Nie czytajcie mej pieśni wy, co w duszy macie
Pokój, brutalnym życia wichrem nie dotknięty;
Wy, co chodzicie w białej niewinności szacie,
I w których sercu żyją lilie i dyamenty.

Nie czytajcie mej pieśni. Przelane w litery
Waszą białość skalają, wasze lilie zsuszą —
Dyamenty wam przepalą zdradne jej chimery
I jak jad wam zawisną nad rozdartą duszą.

Nie czytajcie mej pieśni. Bom ja jej nie pisał
Kastalskich czystych źródeł wodą marmurową;
Alem łyzy i krew wszystkich ran mych powysysał,
Aby niemi przesiąkło każde moje słowo.

Nie czytajcie mej pieśni. Słowa jej to zamęt
Myśli, które w malignie chory duch majaczy,
Apoteoza grzechu, Kaina testament,
Księga łez, ewangelia smutku i rozpacz.

¹⁾ Rzecz niniejsza drukowaną była w *Głosie* z r. 1889
(Nr. 39) z przytoczoną powyżej przedmową.

Tak ja byłem skłóconych żywiołów zamętem!
 I wiem, że moje serce zostawie wyklętem,
 I wiem, że mię potępia ludzie — ci porządni,
 Jak ślimaki moralni, jak ryby — rozsądni.
 I powiedzą: O, patrzcie, co to jest niewiara,
 Pesymizm! Bezląd życia! — tej zbłąkanej duszy,
 Jedna tylko rozpaczna królowała mara.
 Mara śmierci, co wszelką wolę życia kruszy!

Ale nie mówię do tych ludzi z trupią twarzą,
 Co spróchnieli za życia, siadłszy na kurulnych
 Swych krzesłach wyszczudlonych — i wzajem się darzą
 Kadzidłem adoracyj ezczych i obopólnych!
 Mówię do tych, co światła pragną myśli nowych,
 Do tych, którzy szukają nowych ducha torów;
 Co padają w rozpacz zagadnień sfinksowych,
 Co wiją się w pazurach zwątpienia potworów.
 Mówię do tych samotnych, tych niezrozumianych,
 Tych bezimiennych, sobie i światu nieznanych.
 Do tych, co są przyszłością. Niechaj każdy wierzy,
 Że godzina objawień każdemu uderzy!
 Niechaj się w samowiedzę zbroją i w pogardę,
 Niechaj śmiało w przesądów uderzają mury:
 I lepiej niechaj padną, jak sosny harde,
 Niżli zgiąć się, jak trzciny — wśród życia wichury!

Jest potęga bolesna, lecz nad wszystkie wielka;
 Światłość, która ożywia — ogrzewa — oświeca,
 Matka i karmicielka i odrodzicielka,
 Żywa rosa, co dusze jałowe ukwieca!
 Samowiedza! O, budźcie w każdej ludzkiej duszy

Tę potęgę co drzemie, jako w nocy grobie.
 Niechaj wszyscy w pomrocnej zabląkani głuszy
 Przejrzą — i widzą siebie — i wiedzą o sobie!
 A wiem, że tej potęgi straszna jest zawilość;
 Ze jest — jako przepaściami ziejąca pochyłość,
 Ale wiem, że z niej tryska życie, myśl i miłość!
 Ale gardzę kryształem, choćby nad krynice
 Jezior był przeźroczywszy, gdy w każdym atomie —
 Nie drga mu orla żądza lotu w błyskawice,
 Lecz spoczywa na ziemi drętwo, nieruchomie!

Jeszcze nie wiele godzin, a zgrzytną sprężyny
 I ruszą się wskazówki na wieków zegarze,
 I w porodowych bólach, z przyszłych zórz doliny
 Wyłonią się nieznane nowych duchów twarze.
 Jak, gdy pierwowiosennej ziemi buragany,
 W twórczości swoich młodych sił nieopętanej,
 Wciąż wyrzucały na świat dziwne swe potwory,
 Pół-skrzydłaki, pół-hydry, pół-ludzkie upiory,
 Które wiły się w spazmach bezwiednej tęsknoty,
 Jakby ciemną swą duszą przeczuwały zdała,
 Że w ich potwornych kształtach jest zaródź istoty,
 Co się w przyszłą człowieczą formę wykryształą:
 Tak nasz wiek, co się kończy.

Jest to wieków przełom:

Rozpacz, co będzie matką życiodajnym dziełom,
 Dżuma, co niesie ziemi swe śmiertelne rugi.
 Zmierzch, co płynie w różane przedświtowe strugi,
 Głuchy jęk spazmatyczny kobiety brzemiennej,
 Potwór, któremu anioł przyświeca promienny,
 Centaur — bóstwo zwierzęcym skalane sojuszem,

Matko-bójca wyklęty, co nad własnem łonem
Zawisł rozdzierającym Eumenidy szponem;
Tytan, co wraz zakutym jest Prometeuszem
I sępem, co wątrobę szarpie mu na ćwierci,
Aż męczennik w rozpaczy modli się do śmierci.
Ale nie ujdiesz więźniu, gdy twej ciemni warta
Jesteś ty sam — i wiecznie w swoją pierś rozdartą
Patrzysz — i wciąż na moce rozdierasz ją sprzeczne
I wciąż na nowo budzisz jej męczarnie wieczne!
Nie ujdiesz, czujny szpiegu własnych swych upojeń,
Kacie swojego serca, zabójco swych rojeń,
Co dostrzegasz w bezsennej duszy swej pieczarze,
Śród niewielu postaci w jasnej aureoli,
Same widma straszliwe, wrogie, czarne twarze,
Które zwalczać i zniszczyć, własna myśl ci każe —
Ale sępie ci szpony łamią granit woli!
Lecz z po za ciemnej fali zmierzchowego kiru
Wyjrzą świetlne obłoki róży i szafiru
I uderzy godzina, kiedy Noc tęskniąca
Rozkochane swe łono odda bogu Słońca.

W piersi naszej Chrystusy żyją i Nerony,
W piersi naszej bogowie żyją i bydlęta;
I duch nasz przebaczeniem cały przepełniony,
Nieraz się nienawiścią — jak burza — rozpęta.
I bluźnim, choć ku bóstwu dążym w nieśmiertelność
I usta wykrzywiamy w cyniczną weselność.
Ale nasze bluźnierstwo — to tylko modlitwa
Rozpacзлиwa i groźna jak ostatnia bitwa.
Nasz śmiech — to najboleśniej krwawych łez posoka,
Jakie płynęły kiedy z człowieczego oka.

A życie tak kochamy, jak wiosenne szumy
I jak usta dziewicze — i jak wieszczów dumy,
A modlim się do grobu — nicestwa — i dżumy.
I milczym, jak umarłych bezpotomne próchno,
Ale patrzym, czy kresu nie będzie wieczorom:
Jak ci, co długo milczą, aż w końcu wybuchną
Niby grom!

O! nie wierzcie, nie wierzcie pozorom!
Bo jeżeli się modlił do zinnei mogiły
To nie przeto, że serca zastygły mi bicia,
Nie przeto, że omdlały mego ducha siły,
Lecz, że życie zbyt kochał, aby pragnąć życia!

Może znajdę na ziemi jaką duszę bratnią,
Co przeczyta i pojmie tę mą pieśń ostatnią,
I, chociaż rozpacz moja czoło jej zasepi —
Żałować może będzie, lecz mię nie potępi!

...Oto kropla nicestwa! Niech mą pierś wyschniętą
Orzeźwi — i na wieczne prowadzi mię święto!
A może spłynie z nieba jaki chór aniołów,
Aby mi jak Faustowi z rąk wytrącić czarę?
Ale ja tu zdaleka jestem od kościołów
I wokół widzę tylko ściany domów szare.
Jaka tu w koło cisza! Jaka tu martwota!
Jaka mgła monotonna! Jak tu mdleją siły!
Jak tu się próżno dusza niespokojna miota!...

Życia! Nieskończoności przestworza! Mogiły!

Mogiły! Może na niej kwiat jaki wyrośnie,
Który z duszy mej przejmie to, co w jej rozkwicie

Kochało — i na ziemię patrzyło radośnie
 [na mogile mojej stworzy nowe życie!

Bo choć do grobu idę, wiem, że jestem żywy,
 I może stokroć żywszy, niż te moje sędzie,
 Którzy obłudnie rzucą wzrok swój litościwy
 W mego trupa, by szukać w nim błędu po błędzie!
 I łzami się zaleją, niby krokodyle,
 I z sentymalizmem powiedzą kłamanym:
 — Oto, patrzcie! tak młody, a już legł w mogile,
 A tak piękną miał przyszłość! Lecz był zmarnowanym.
 Błądził dużo — nie umiał z ludźmi żyć — był dziki —
 Nie gwałcił karku — był hardy, kruźbrny. Jednem słowem.
 Zasłużył na śmierć swoją. I węzowe syki
 Dosięgną mię pod wiecznem posłaniem grobowem!
 Wtedy ja w mym mogilnym powstanę granicie
 I powiem im: Jam błądził, o, prawda! Sędziowie,
 Jednym szeregiem błędów było moje życie.
 Moja wina! Błądziłem w myśli — czynie — słowie!
 Widziałem zawsze życie zbyt szerokiem kołem,
 Żem nieraz jego drobnych dostrzedz kół nie umiał —
 Przeto nieraz upadłem — nieraz się potknąłem,
 A wicher mi złowieszczy karająco szumiał.
 Huczały w mojem sercu, w mym mózgu, w mem łonie,
 Wszystkie szale i zbrodnie, kłamstwa i rozpacz,
 Wszystkie zwątpienia, wzgardy, wszystkie dysharmonie,
 Któreimi potępiony wiek dzisiejszy płacze.
 Bo ja byłem chaosem, tak jak jest chaosem
 Ten wiek, który mię rodził; który pieśń swą śpiewa —
 W jasną myśl niespojonym, zgrzytającym głosem,
 Od którego drżą góry i padają drzewa!



Lecz wiem, że z tej zgrzytliwej, chaotycznej pieśni
 Wyjdzie harmonia dźwięków; że się wypromieni
 Zorza przeźroczych myśli, która ucieleśni
 Świat — odrodzony w wiecznej wiosnie i zieleni!

Moja pieśń nieskończona... Tak! bo mi zamknięto
 Usta, a pierś zduszono... I tylko pioluny
 Jedną falą przesiąkły lutni mojej struny
 I niostem oniemiałą lutnię mą pękniętą!
 Moja pieśń nieskończona... I cóż z niej zostanie?
 Jeden rzut ikarowy — jedna skra wesela —
 Jeden błysk objawienia... I ciemne otchłanie
 Nocy — bezdnia upadku — bezsilne błąkanie —
 Chaos żądz nieujętych, co mi w krew się wciela,
 Jady samobiczowań, co w duszę się wżarły,
 — Szamotanie bezpłodne woli pół zmarłej,
 Ironia gór olbrzymich, wydających karły,
 Maligny chorobliwa niemoc — rumowisko
 Przepalonego ducha...

Lecz, nie! to nie wszystko!...

Był we mnie kwas azotny, od którego syczą
 Metale, by zmartwychwstać, zmienione w saletrę;
 Tak ja moich pokrewieństw potęgą dziewiczą
 W chemiczny ślub z duchami ludzkiemi się zetnę!
 A wiem, że było w losach mych zgorzeć samemu,
 Ale nie było w losach mych zniknąć bez śladów:
 Nie pragnąłem ja gromkiej sławy dyademem,
 Lecz braterstwa dusz silnych, którym nie strach jadów!
 I, jeśli się połączę z jakim silnym duchem,
 Co będzie miał na ustach węgiel palający,
 A w sercu złotą siarkę miłości gorącej —

To zmartwychwstanę kiedyś straszliwym wybuchem...

.
Ale teraz czas skończyć...

(Tu rękopis się urywa. *Przyp. wyd.*.)

NIE NA DZIEŃ JEDEN.

Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony:
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną,
By od twych pługów garbate zagony —
Zabrzmiały pieśnią zbóż złocistych gwarną!

Choć nieraz wichry i susze wygarną
Twym krwawym potem wydobyte plony:
Wytrwała praca twa nie będzie marną —
Nie na dzień jeden!

Natura kocha swoją pieśń cmentarną,
Niby małżonka pieści akwilony:
Od gniewu Dyany giną Akteony;
Strasznie jest zwalczać moc elementarną,
Lecz siej — pomimo grad i suszę skwarną —
Nie na dzień jeden!

Z ROZMYŚLAŃ.

I.

Obozowiskiem koczuję po ziemi:
 I nie mam nigdzie spoczynku dla głowy —
 I zawsze smutno mi i wszędzie źle mi
 I czekam, rychłóż zmilknie gwar bojowy.

Niedługo zwinąć przyjdzie mi namioty,
 I z żalem patrzę wstecz, w ubiegłe noce:
 Jak wiele pracy — jak wiele tęsknoty,
 Jak wielkie trudy — jak lichy owoce!

I tylko czasem w kradzione godziny,
 Kiedy przycichnie ta walka jałowa:
 Duch mój ulata w pieśniowe krainy,
 Trwożny, czy spełni swych przeznaczeń słowa.

II.

Najboleśniejże są pewnie te bole,
 O których milczy dusza uznojona:
 Choć wieczną chmurą osiadły na czole
 I cisną — niby polipów ramiona.

Szczęśliwie dziecię, że mu płakać wolno —
 Ze łzami bowiem spływają boleści —
 I dalej może kwitnąć różą pełną,
 Która się rosą niby łzami pieści.

Lecz kiedy lata przetrawia nam ducha,
 Im przenikliwszy ból w piersi kołata:
 Tem bardziej nieme usta, bardziej sucha
 Żrenica, bardziej twarz jest lodowata!

SONET.

Nieujeżdżonym źrebce**m** była młodość moja,
 I szybko przeminęła, jak wiatr niewstrzymany;
 Nie po za mną już niema nad zawodów rany,
 I żadna już przedemną nie leży ostoja.

Serce obojętności pokrywa mi zbroja —
 Idę, samemu sobie obcy i nieznany —
 Kłamstwem byłem sam sobie — i rozczarowany
 Patrę w siebie, jak w ciemną otchłań bez ukoja.

Połowę już uszedłem żywota mej drogi:
 Jestem w dniach, kiedy Dante schodził w piekiel prog
 I nic nie dokonałem ze swojego dzieła.

I życie moje przeszło jałowe — bezpłodne,
 I serce moje próżne, a jak upiór głodne,
 A młodość, jako wichur szybko przeminęła.

 W IMIONNIKU R. D.

Temu, co będzie twoim, bądź jak strumień cichy,
 Nad którym białych lilij jaśnieją kielichy;
 Po którego srebrzystej i gładkiej równinie,
 Jako bóstwo pokoju, śnieżny łabędź płynie;
 I w którego przezroczej, zwierciadlanej fali
 Słonecznieje pogoda — lazuruwej dali.

Bądź mu jako rzeźwiący świeży letni ranek,
 Jako zapach konwalij wśród leśnych polanek;
 Jako błękit wiosenny, chmurą nie dotknięty,
 Jak tęcza malowane kryształów dyamenty;
 Bądź jak tarcza w zwątpieniu; jak balsam na troski,
 Bądź jak pieśń, którą śpiewa chór aniołów boski.
 Bo na świecie są wichry, na świecie są burze.
 Nieraz dzień bywa nocą, słońce stoi w chmurze
 I nieraz płacze oko: lecz serce dziewczęcia —
 Jest jak przystań, gdzie mocą bożego zaklęcia
 Wszelki wicher się w błogą uspakaja ciszę,
 Wszelki smutek się do snów łagodnie kołysze:
 Więc temu, czyją będziesz, gdy go troski ranią,
 Bądź tym cichym strumieniem i taką przystanią.
 Niechaj czerpie z twej duszy jak z żywego źródła,
 Aby mógł wstać żelazny do strasznego boju,
 Ach, którego nikomu nie oszczędzi życie:
 Taką miej moc w swej ciszy i ducha błękanie!

MŁYNARECZKA.

O, gdybyś ty mnie kochała,
 Młynareczko złotowłosa!
 Chłopcabyś wiernego miała —
 Niczemby mi deszcz i rosa!

Kochałbym cię bez pamięci,
 Z oczu twoich pił wesele...

Wiatrak kręci się a kręci,
 Miele zboże, miele, miele!...

Całowałbym twe oczęta
 I twój warkocz jasno-złoty,
 I żyłabyś uśmiechnięta
 Na pieszczoty, nie roboty.

Hej, czyż garnki lepią święci?

Ja robotę twą podzielę!...

Wiatrak kręci się a kręci,

Miele zboże, miele, miele!...

Sambym przystał do młynarzy,
 Sambym nosił wory mąki,
 A w nagrodę, jak się zdarzy,
 Brałbym słodkie pocałunki!

Bądź mi w sercu dobrej chęci,

Młynareczko, mój aniele...

Wiatrak kręci się a kręci,

Miele zboże, miele, miele...

SCHERZO.

Raz się Amor bawił tak,
 Ze na szali swoich wag
 Złożył serce mej dziewczyny;
 Ach, ten ciężar mój jedyny,
 Ach, ten ciężar, co mię skuł,
 Złamał, zgiął — i krew mi struł,
 Co nademną ciężył czasem,
 Tak jak niebo nad Atlasem.

A na drugiej szali znów,
 Ironicznych pełny słów —

Amor dłonią swą niechwiejną,
 Różne rzeczy kładł kolejno :
 Naprzód więc położył kwiat,
 Potem piórko drobne kładł,
 I motylka z skrzydeł tęczą,
 Puch gołębi — nieć pajęczą.

Toż się Amor śmiał a śmiał,
 Gdy już zważył to co chciał.
 Nad motylka — cóż powiecie?
 Nad pióreczko, puch i kwiecie,
 Niesłychany — mówię — cud,
 Lżejszy ciężar, co mię zgniótł.
 Ach, nad nici pajęczyny
 Lżejsze serce mej dziewczyny!

TOPOLA.

Wystrzeliła ku wyżynie
 I w niebiosach zda się ginie
 Topola.
 W złote zorze — w barwy tęczy —
 W srebrne chmury skronie wieńczy
 Topola.
 I wpatrzona w nieba zorze
 Tajemnice widzi boże
 Topola.
 Pełna bożej tajemnicy,
 Czerpie siły z nieb krynicy
 Topola.

Przeto stoi jak kolumna —
 Niezachwiana — silna — dumna —
 Topola.

Lecz czyż cała tkwi w eterze,
 Czyli z ziemi nic nie bierze
 Topola?

Nie — nad wszystkie inne drzewa
 Głębiej sięga w ziemi trzewa
 Topola.

I, w wyżynach kąpiąc czoło,
 Naokoło widzi sioło —
 Topola.

Widzi kwiaty — widzi chaty —
 Widzi złotych pól kwadraty
 Topola.

Widzi w okrąg całą ziemię
 I rolnicze widzi plemię —
 Topola.

I w podziemne sięga cienie,
 Kryjąc w głąb jej swe korzenie
 Topola —

W głąb — w jej żyzną pierś gorącą,
 Kochającą — i karmiącą —
 Topola.

I z podziemnej émy głębokiej
 Życiodajne czerpie soki
 Topola.

Jedną siłę bierze z nieba —
 Drugą z ziemi czarnej chleba
 Topola!

Bądź, poeto, jak topola —
 Kochaj tężce i granity:
 Jednem skrzydłem leć w błękity,
 Drugiem ziemskie odczuj pola!

Najpiękniejsza to muzyka
 I najpiękniej życie wciela,
 Co najwyżej w niebo strzela
 I najgłębiej w ziemię wnika.

DĄB.

Dopóki dąb nie straci swych zimowych liści,
 Choćby słońce świeciło coraz promieniściej
 I, choćby gaj ci pachniał woniami edemów,
 Póty nie mów, że wiosna już nastąpiła. Nie mów,
 Bo dąb, z czerwonym wieńcem na barkach olbrzyma,
 Długo trwa na świadectwo, że nie przeszła zima;
 Bo dąb powoli zbiera swe potężne soki
 I powoli wiosenne przejmuje uroki.
 Dość dla słabych pierwiosneków, dla lichych sasanek,
 Gdy zlekka je ogrzeje pierwszy wiosny ranek;
 Dość dla brzozy i wierzby skier bladego słońca,
 Aby na nich zakwitła kiść zieleniejąca:
 Ale dąb czeka jeszcze — za słabe to ciepło,
 By zbudzić jego duszę snem zimy zakrzepłą.
 Próżno zefir naokół jego głowy tańczy;
 On nie czuje tej bladej wiosny samozwańczej

I gdy sad, jak dziewczica w narzeczonej szatach,
 Bieleje, wykąpany w śnieżno-białych kwiatach
 Jabłoni i czeremchy, śliwy i czereśni —
 W ich szumie nie dosłyszysz jeszcze dąb tej pieśni,
 Która ma odczarować jego sen zaklęty.
 Czeka wciąż. I gdy w stawach grają żab lamenty,
 Kiedy pękną kasztany, gdy zabrzączą żuki,
 Kiedy puszczą jawory, i graby, i buki,
 Kiedy zazielenięją rozłożyste klony,
 I akacya — i jesion ku ziemi schylony;
 Gdy nawet za ogrodem — daleko — przez pole —
 Różowym się obłokiem już mgławią topole —
 Dąb czeka. I dopiero, kiedy czas nastanie,
 Ze słyhać już słowików miłosne śpiewanie,
 Gdy fijołek już więdnie, gdy wśród trzcin szelestu
 Kwitnie bez i owocem trzęsiej krzak agrestu;
 Gdy pączek róży pęka i słowika wita:
 Wówczas, wśród drzew ostatni — stary dąb zakwita.
 Powoli na jedwabną zieloną murawę
 Po kolei zeń liście spadają złotawe
 I powoli w ich miejscu z pączków się dobywa
 Wiosennych młodych liści świeża zieleń żywa;
 Bo dąb powoli zbiera swe potężne soki
 I powoli wiosenne przejmuje uroki;
 Ale gdy w jego łonie nowy puls uderzy,
 Wówczas zbiera martwość zimowych puklerzy;
 Ale gdy w jego łonie dość zbierze się żarów,
 Po kres jesieni szumi pieśnią swych konarów.
 Gdy rozpalą się żyły w jego lędźwiach mocnych,
 Najogromniej zakwita bóg lasów północnych.

W LESIE.

Widziałem w głębi lasu, pod cieniem wyniosłej
Gromady smukłych sosen i dębów samotnych,
Złamany pień szeroki: na szlamach wilgotnych,
Wewnątrz — wśród mchu i grzybów — trzciny wodne rosły.

Gdy bóg Wisły z wędzideł puścił swe rumaki,
By ziemię tratowały wichrów swych kopytem,
Rzeka tu rozszerzonem szalała korytem
I aż tutaj poniosła wodne tataraki.

Tak, gdy wylew społeczny, jako dziejów czata,
Płomienistym wybuchem pędzi swe orkany:
Jego skry upadają gdzieś w dali nieznanej!

I dziwisz się, że naraz ta zapadła chata,
Dokąd, zda się, nie sięga żaden błysk jutrzniany,
Pieści myśl, wyłonioną z tego wichrów świata.

NAD STAWEM.

Szafirowy cichy staw
Szumi pieśnią trzciny i traw,
I odbija skry słoneczne,
I błękitny napowietrzne
I co falom rzuci traf.

A nad stawem głogi w krąg
Purpurowy niosą pąk,
A nad stawem kwitną ciernie,
Białym kwiatem kryjąc czernie
Swych kolczastych nóg i rąk.

A pod wodą żabi chór,
A pod wodą rybek sznur,
A na wodzie tataraki,
A nad wodą suną ptaki
Śród wysokich srebrnych chmur.

Siedzę tu nad brzegiem fal
Zapatrzony w senną dal,
Coś mi tęskno po dniach onych,
Po minionych — po straconych,
Po minionych dniach mi żal!

Więc o wierzby wsparty pień,
Słucham fali cichych drzeń...
Naraz, niby duch z zaświata,
Jakiś cień przez toń przelata:
Ach, to ptaka czarny cień!

Czarnym cieniem mignął tak
I w nieznany pomknął szlak...
Ledwie oczy wzniosł do góry,
Już widziałem tylko chmury —
Za chmurami zniknął ptak!

Jako ptak — uchodzą sny,
Cieniem padną w życia łzy.

Jako strzała tak migają,
I jak ptaki przepadają,
W tajemnicze płynąc mgły.

Ileż myśli, — uczuć — zórz
Zgasił we mnie wicher burz!
Błyskawicą we mnie błysły
I w nicestwo się rozprysły —
I nie wróca nigdy już!

SKOWRONKI.

Skowronki latają, skowronki —
W wyżyny — w błękity — w lazury —
Nad pola — nad gaje — nad łąki,
Do góry — do góry — do góry!

Nim oracz swym pługiem uderzy
I ziemię wygarbi o wiosnie,
Skowronek w obłoki już mierzy
Radośnie — radośnie — radośnie!

Skowronki latają, skowronki
I wiosnę zwiastują swym lotem —
I wróżą nam zieleń i pąki
Wesołym a gwarnym szczebiotem.

Nad pola — nad szczere, obszerne
Wysoko — daleko się wznoszą —

I prują błękity niezmierne
Z rozkoszą — z rozkoszą — z rozkoszą!

Nerwowo — szerokiem półkolem,
A szybko — a zwinnie — a szparko
Wzlatuje skowronek nad polem
Za wiosną — zieleni szafarką.

Do góry — do góry wciąż płynie
W bezmierne — niebieskie przezrocze —
I drżącym skrzydełkiem w wyżynie
Trzepoce — trzepoce — trzepoce!

Skowronki latają — skowronki,
Tu jeden — tu drugi — tu trzeci —
Pół złote — pół szare te dzwonki,
Co dzwonią na cichych pół dzieci.

I dzwoniąc — świergocząc — szczebiocząc,
Po niebie szerokiem latają
I skrzydłem nerwowo trzepocząc,
Śpiewają — śpiewają — śpiewają!

Śpiewają o wiosnie — o siewach —
O trudach — o łanach — o chlebie —
O ciepłych zefirów powiewach,
O tęczęch — o kwiatach — o niebie!

O dziewcząt i chłopców tęsknotach,
O srebrnych szemrzących ruczajach,
O pieśniach, o woniach, pieszczotach,
O gajach — o rajach — o majach!

FRAGMENT.

I nie miłować ciężko, i miłować.

M. Sep Szarzyński.

I nie miłować ciężko, i miłować.

Nędzna pociecha. Rozkosz i cierpienie
W jedno się wiążę — niepewność. Takowa-ć
Dola człowiecza. Wszystko przyrodzenie
Żyje miłością. Tylko syn człowieka
Wciąż za nią goni i od niej ucieka.

Niemiłowawszy, będziesz martwym głazem ;
Miłując spłoniesz na popiół. Gorące
Spojrzenie w piersiach utkwi ci żelazem ;
Noc — zda się wieczną, rychło gaśnie słońce :
A ciężko widzieć słońce, gdy się mroczy,
Ciężej noc widzieć, gdy się wiekiem toczy.

Jak zbłąkane dziecię, dusza nasza
Drzy u tej drogi rozstajnej żywota.
Tu ją surowy, zimny mrok przestrasza,
Tam rozpalonym płomieniem migota
Z ognistych niebios zorza purpurowa :
Którędy-ż pójdę, co mi jutro chowa ?

Komu jest obcą miłość, — czyli przeto,
Że nie napotkał jeszcze swej bogini ;
Czy, że zbyt dumny, aby przed kobietą
Uklęknąć tak jak się klęka w świątyni ;
Czy, że zbyt zimno własne czucia bada,
Iż nim zapłoną, gasną — temu biada !

Czy przeto obcem mu ducha wesele,
 Że zbyt samotnie jego dumy płyną;
 Czyli, że bratnich dusz ma nazbyt wiele,
 Aby z nich jedna mogła być jedyną;
 Czy że z miłością jej siostra — śmierć blada
 Zawsze mu serce mrozi — temu biada!

Bo on nie pójdzie różami opięty,
 Nie pozna życia najcudniejszej woni —
 I w końcu powie: — Ja byłem wyklęty
 Nłe było dla mnie majowej harmonii!
 Raczej się wcale nie rodzić, niżeli
 Nie znać melodyi, w której śnią anieli.

Duch jego głodny, a sieroctwem drzący,
 Choć jako bóstwo byłby doskonały,
 Łamać się będzie od tej brakującej
 Ducha połowy, co tworzy kryształy.
 I zawsze będzie — smutny i samotny —
 Jakby u brzegu przepaści wilgotnej...

Miłość jest własny bieg życia naszego.
 Ona jest jego pełnią księżycową,
 W niej jest modlitwa, w niej bytu całego
 Prawda najwyższa i jedyne Słowo,
 Chwała i rozkosz. W niej, jak słońce w fali,
 Miłość wszechistot złotą skrå się pali.

Wszystkie sny moje za wiatru szelestem
 Znikły rozwiane we mgle rozczarowań;
 Samotny jestem, rozplakany jestem

I pragnę słońca i snu pocałowań.
Oto się wieczór zarumienił cichy
I rozemknęły się róży kielichy.

Oto się wiosna w mem sercu zbudziła,
Krzew moich uczuć znów się zazielenił,
Oto bogini mi się objawiła...
A czemużbym jej boginią nie mienił,
Gdy w niej się cała myśl duszy mej streszcza
Cała serdeczność moja się wypieszcza?...

Kocham... ach, kocham; Oto ku mnie spływa
Szelestu skrzydeł i ptaków śpiewania
I blasków pełna — i wonią pieściwa
Dusza, co dłonią siostrzaną odślania
Mej ciemnej duszy świetlane szafiry,
Dźwięczne melodyą złotostrunnej liry.

Ile uśmiechów — ach! ile pogody —
I słodkich spojrzeń ile — ile wzruszeń —
Ile zapału i krwi życia młodej —
I pocałunków — i czaru pokuszeń —
Ach, ile niebios — i ile uroku —
Ile... Ach, cóż to? cóż to? Łzy w mem oku?..

Ach, każdy uśmiech staje się trucizną,
Spojrzenie każde — pomarszczeniem czoła,
A pocałunek każdy — siną blizną,
Każda pokusa cierpienie wywoła.
A każdy urok jest złudą przemienią,
A każdy zapach jest — nocą bezsenną.

Kto od tęsknoty płonął i usychał —
 I śnił — i marzył — i wątpił — i wierzył —
 I noce nie spał — i płakał — i wzdychał,
 I na dwie dusze swą duszę rozszerzył;
 Kto znał miłości wieńce i kajdany:
 Ten wiecznych cierpień poznał siew różany.

POSAĞ I DZIEWCZYNA.

Kto mnie nauczy, co lepiej na świecie,
 Czy lepiej patrzeć w to co wiecznie trwa,
 Czy w to co znika jak wiosenna mgła,
 I co przemija jak więdzące kwiecicie?

W cieniu akacyi, i bluszczu i bzów
 Lśnił biały posąg z marmuru kowany,
 Venus — jam przed nią stał oczarowany,
 I odchodziłem, i wracałem znów.

Naraz aleją szła dziewczyna młoda,
 Świeża jak kwiatów niespodziany ruch,
 A w lazurowych jej oczętach dwóch
 Nieznanych niebios jaśnieje pogoda.

W szeleście sukien szła — jak w brzęku pszczół,
 Usta różanym płonęły uśmiechem.
 Czar! więc spojrzełem na dziewczę z pośpiechem
 I, patrząc, wiosnę jam w duszy swej czuł.

Ona wesoło spoglądała ku mnie
 I poszła dalej w cień bluszczu i bzów,

I znikła. Został tylko posąg ów,
Na marmurowej oparty kolumnie.

Wiecznie stać będzie nieruchomy głaz,
Dziewczyna pójdzie w nieznajome światy...
Szybko czas mija — szybko więdną kwiaty,
A żyć należy, póki życia czas...

Posąg zostanie dla mnie wśród gęstwiny,
Dziewczyna przeszła i nie wróci już...
Żal mi, ach, żal mi więdnących róż,
Żal mi, ach, żal mi nieznaney dziewczyny.

I cóż jest lepiej wśród życiowych fal?
Patrzeć na posąg nieruchomo wieczny,
Czy ścigać uśmiech dziewczyny serdecznej,
Co mija szybko i odchodzi w dal?

WIOSENNA PIEŚŃ.

Rozsłowiczona śpiewa przyroda,
Wiosennem tchnieniem owiana
Jak złota arfa, pierś dysze młoda,
Pieśniami rozkołysana.

Rozkołysana pieśnią natury,
Pochłania słodkie jej wonie;
Kwiaty, promienie, tęczę, lazury
W jedną splatając symfonię.

W jedną symfonię splata je żywą,
 W jedną melodyę półsenną:
 W pragnienia życia złote przedziwo,
 W odrodzeń erę wiosenną.

Wiosenną erę z zmartwychwstań głębi,
 Ucałowana od słońca,
 Chórem motyli, pszczół i gołębi
 Budzi natura tęskniąca.

Tęskni natura, z głębi jej łona
 Żywe tryskają zielenie:
 Tęskni i śpiewa rozstłowiczona —
 I w nas przelewa pragnienie.

Pragnienie życia w pierś nam przelewa
 I pocałunków i wiosny:
 Kołysze, nęci, łudzi i śpiewa,
 Aż w uścisk rzuci miłosny!

PIEŚNI O POCAŁUNKACH.

SCHERZO.

I.

Każdem marzeniem,
 Każdem westchnieniem,
 I każdą moją tęsknotą —
 Myśli wyrazem,
 Wspomnień obrazem,
 Każdą nadziei pieśzczotą;

Każdym oddechem,
 Każdym uśmiechem
 I każdym kolan ugięciem;
 Każdem spojrzeniem —
 Słowem a tchnieniem
 I każdym ręki dotknięciem;

Wszystkiem, co śniłem,
 Wszystkiem, czem żyłem,
 Wszystkiem na ziemi i w niebie;
 Kochanko moja,
 Wybranko moja —
 Wszystkiem — jam całował ciebie!

II.

Luba, jam całował
 Jasne twoje oczy,
 Wargi twe różane,
 Pukle twych warkoczy.
 Całowałem śnieżne
 Czary twego łona,
 Białe twoje ręce,
 Białe twe ramiona.

Całowałem ciebie
 W skromnej twej świetlicy;
 Całowałem w parku
 Samotnej ulicy.
 Całowałem ciebie
 Pośród pól złocistych,

Pośród łąk zielonych,
Śród gajów cienistych.

Całowałem cię,
Gdy wschodziło słońce,
Całowałem cię
W południa gorące.
O wieczornej zorzy
I śród nocy ciemnej,
Gdy anioły lecą,
Dzwoniąc psalm tajemny. —

CHCIAŁBYM...

Chciałbym być świeżem porannem tchnieniem
Wietrzyka,
Co w twoje piersi wiosny pragnieniem
Przenika.
Chciałbym być słońcem, co cię ogrzewa
W szat bieli;
Chciałbym być falą, co cię oblewa
W kąpieli.
Chciałbym tą cząstką wybraną zostać
Przestworza,
Które obleka białą twą postać
Jak zorza.
Chciałbym być okiem twem — i uśmiechem
Twym smętnym
Falą twych włosów — piersi oddechem,
Krwi tętnem.

Chciałbym być dumań twych marzycielskich
 Przędziwem,
 Uczuć twych żarem — pieśni twych sielskich
 Ogniwem.
 Chciałbym się całą mą przeobłoczyć
 Osobą
 W tobie — i z tobą byt mój zjednoczyć:
 Być tobą!

FRAGMENT.

My się nie możemy kochać jak gołębie!
 Dwie nasze dusze są, jak dwie otchłanie,
 Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie
 I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.

Czasem je siła nieznana porywa:
 Padamy w cienie jakichś nocy czarnych.
 Kędy samotność dunna i straszliwa
 Króluje nakształt sił elementarnych.

Czasami płoniem ognistym wybuchem
 I pożar pożar iskrami podsycą,
 I duch się jeden zlewa z drugim duchem,
 Jak chmura z chmurą, z mgławicą mgławica.

Naraz rzucamy te podniebne loty,
 Mrok od otchłani zionął ku otchłani;
 Znów samotności czujemy tęsknoty
 I idziem gorzcy i rozczarowani!

Nie wciąż się równo toczy wielka rzeka,
Opływa lasy i góry i sioła,
I różnie działa jej fala daleka:
Ma w sobie czarta, ma w sobie anioła!

I duchów naszych te głębie otchłanne
Mają swej jaźni wieczne tajemnice:
Mają swe tęcze i zorze poranne,
I swoje wichry — i swe błyskawice.

Czuję te burze, co żalobną tuczą
Królują w tajniach duszy twojej głębokiej;
Słyszę te wichry, co w sercu twem huczą,
Widzę twe tęcze — i widzę twe mroki.

Twój duch jest niby ciemny bór, gdzie sosny
I dęby kwitną pośród iw tysiaca;
Któredy wicher przelata żaloszny
I o zielenie twych drzew się roztrąca.

Jam jest jak równia puszczy rozpalonej,
Której bezpłodne piaski w wir się kłębią,
Po której wicher dmie nieposkromiony,
Chyba nad morską zatrzyma się głębią,

Wichry pustyni i wichry te leśne,
Kiedy się razem zejdą w swym poszumie
Wzajem oddechy swe karmią bezkreśne
I otchłań otchłań jak siostrę rozumie.

Bo czujesz w świętej owej tajemnicy
Tchnienie świadome samoistnej duszy,

Lot białoskrzydły królewskiej orlicy,
Wicher po leśnej szalejący głuszcy.

I miłość nasza zda się nieraz walką
Dwóch potęg ciemnych, dwóch dusz nieśmiertelnych,
I z których każda pragnie być westalką,
I strzeże wiecznie swych zniczów udzielnych.

Aż oba wichry — i otchłania obie
W dzień uroczysty, przez pragnienie jedno
Dążąc ku sobie, zlewają się w sobie
I w niebo płyną drogą snu bezwiedną.

Kocham cię za to, że jesteś otchłanią,
Kocham cię za to, że jesteś orlicą,
I że cię wichry w duszy twej orkanią —
I żeś jest chmurą, i żeś jest mgławicą!

PYTANIE.

Co nas złączyło? Dla czego złączyło?
Oto jest jedna z tych dziwnych zagadek,
Które w mym mózgu nurtują. Tą siłą
Byłaż konieczność? Czy był to przypadek?

Czyli się losem ta potęga zowie?
Czy przeznaczeniem? Czy te dwa motory
Są jedną myślą w rozdwojonem słowie,
Czy dwiema siły treści różnowzorej?

Nieraz, gdy stajesz jak hóstwo przedemną,
 I gdy mię olśni duszy twej słoneczność,
 Czcząc mimowiednie twą jasność tajemną,
 Klękam przed tobą i mówię: Konieczność!

Lecz, gdy cię widzę słabą i upadłą,
 Demon, wieczysty moich zwątpień świadek,
 Kreśląc mi węglem duszy twej zwierciadło,
 Każe mi powstać i mówię: Przypadek!

SAMOTNOŚĆ.

Dusze ludzkie — samotnice wieczne,
 Samotnice — jak planety błędne:
 Każda błąka się przez drogi mleczne,
 Każda toczy koło swe bezwzględne.

Samotnice — jak planety błędne,
 Wzajem patrzą na się przez błękity:
 Każda toczy koło swe bezwzględne,
 Lecz nie zejdzie nigdy z swej orbity.

Wzajem patrzą na się przez błękity,
 Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
 Lecz nie zejdą nigdy z swej orbity,
 Lecz nie pójdą wraz po jednej fali.

Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
 Błąkając się, jak przez drogi mleczne,
 Lecz nie pójdą wraz po jednej fali
 Dusze ludzkie — samotnice wieczne.

CIENIE.

... Nie mogę błędzić po mieście bezkarnie
Mam takie dziwne miejsca, czarami zakłete,
Co wiecznie budzą we mnie pamiątek męcrarnie
Na nowo moje rany krwawiąc niezamknięte.
Mam takie nieme okna w martwych kamienicach,
Takie ciemne aleje w ciemnych parków głuszy,
Takie zimne kamienie na pustych ulicach,
Gdzie kryją się umarłe części mojej duszy.
I nieraz — kiedy błędzę — w ranki czy wieczory —
Nagle — niby z pod ziemi rośnie me wspomnienie,
Co wnet w rzeczywistości barwi się pozory:
Ach, tu jej cień pozostał — i mój cień — dwa cienie!
Widzę — widzę ją znowu. Ona nie odeszła —
Ona stoi tu ciągle — i ja z nią tu jestem —
Nanowo zda się, żyje chwila, która przeszła:
Wionęła ku mej duszy mistycznym szelestem.

O, patrz! Za tem okienkiem na piętrze wysokiem,
Gdzie drzemie jakiś tłuścioch — z glinianym cybuchem:
Tam cień przeszłości mojej — widzę ją mem okiem,
Tam jej cień, tam jest ona! -- widzę ją mym duchem!
Nieprawda! mówię -- niemasz owego tłuściocha,
Ja tam jestem — i ona ze mną — dwoje cieni,
Ja tam jestem — i ona! I ona mnie kocha —
I znów jesteśmy razem — i nierozłączeni.
I błędzę — błędzę dalej bez tej części duszy,
Co wsiąkła tam w mansandry puste — nagie ściany,
I czuję, jak się zwolna cały duch mój kruszy —
Rozrzucony po świecie...

Ach, oto kasztany!

Oto moje kasztany — wchodzę w nią aleję,
 Myśląc, jakie mam twardej pracy przeznaczenie,
 Gdy naraz mi w gęstwinie coś tam majaczeje —
 Dwie postaci znajome — dwa duchy — dwa cienie —
 Ona i ja... I czuję pieszczotliwe dłonie,
 Co w dłoni mej spoczęły... I zapach jej włosów,
 I widzę stal jej oczu... Czuję puls jej dłoni —
 I słyszę tajemniczą rozmowę dwóch głosów.
 Zlewam się z moim cieniem — jesteśmy szczęśliwi:
 Niewiem, kto istność bierze, kto swą istność traci?...
 ... Tyłu ludzi tu błądzi, a nikt się nie dziwi,
 Ze jestem, niby jeden, w podwójnej postaci!
 Ach! musiałem się zmienić niepodobny wcale
 Do tego, co tam stoi — do mojego cienia!...
 ... Bo on jest moim duchem, co popłynął w dale
 Szczęśliwości wieczystej. Mój — jest dział cierpienia...

Idźmy stąd! Gdzieś w samotną ulicę — daleko —
 Gdzie nie spotkam tych cieni — gdzie mi krew nie wzbierze...
 Spokoju — chcę spokoju! Jest ogród za rzeką —
 Pójdę tam! I zbłądziłem — i jestem na skwerze...
 Cichy skwer. Tu akacje wysmukłej kibici
 Kołyszą swoje wieńce łagodnej zieleni —
 Tu szmerzą w wiatru szumie traw soczyste nici —
 Tu floksy!... Na Bóg żywy — znów dwoje tych cieni!
 Znów? — Czyż nigdy? — O! dawno, jak codzienni goście.
 Bywaliśmy w tem miejscu... Ach, każda rezeda
 Znała nas. Ptaki nam swe śpiewały miłości —
 I roiłem, że sen ów zmienić się już nie da.
 Minał sen, lecz tu żyje w zefiry, w promienie —

W zapach kwiatów zaklęty i w piosenki ptasie...
 O, znów powstają widma moje, moje cienie!
 Widzę ją — widzę znowu — w całej dawnej krasie!

Malowane kolorem jakichś mgieł błękitnych
 Cienie owe, tem żywsze im bardziej umarły,
 Które chciał-bym uchwycić — i z tych nieuchwytnych
 Form — odtworzyć godziny, co się w nicosć starły...
 Te mgły — te widma senne ścigają mnie wiecznie —
 I dręczą bezcieleśnie — przenikliwiej, krwawiej,
 Niż twarda rzeczywistość! Ach, cierpię serdecznie,
 Choć razem cienie owe duch mój błogosławi!

A bywają czasami ciepłe dni wiosenne,
 Gdy jej cień — zda się w całym mieście jest rozlany —
 Na ziemi i w powietrzu — jak widziało senne
 Krąży w wszystkich żywiołów treść zaczarowany.
 I wtedy w każdym świeżym powiewie wietrzyka,
 W każdym słońca promieniu i przechodniów słowie —
 Ona jest — ona żyje — ona mię przenika —
 I widzę ją — i czuję — — — ból w sercu i głowie!
 I czuję pocałunki jakieś napowietrzne,
 I szeptu o miłości pieszczą moje uszy...
 Czuję rąk niewidzialnych dotknięcia serdeczne
 I wszędzie szukam cząstek mej rozpierschłej duszy.
 Oto biegnie dziewczyna w rezedzie kapana:
 To były jej perfumy — cząstka jej istoty;
 Idzie druga w granaty jej sukni odziana,
 Trzecia ma jej kapelusz i jej warkocz złoty.
 Jedna ma jej spojrzenie — druga włos jej płowy —
 U tej — jak u niej — wargę różą się szkarłaci,

Tamta ma jej postawę — ta jej chód królowej —
 I znajduję jej postać w tysiącu postaci.
 A przechodnie wcięż, zda się, że gadają o niej —
 Wszędy słyszę jej imię — widzę jej spojrzenie —
 I błądzę w jej postaci — w jej uśmiechu — woni —
 Widzę ją — czuję — słyszę — — —
 Cienie — cienie — cienie!

LIST MATKI

(URYWEK Z POWIEŚCI).

Gdy Wiktor powracał do domu
 Pełny rozpaczy myśli, nieznanych nikomu,
 I szedł jak niewidomy — w troskach i wieczorze,
 Nagle usłyszał silny głos: „Panie Wiktorze!“
 Obrócił się. Przy furtce był stróż kamienicy,
 Baczny dostrzegacz zjawisk domu i ulicy,
 Stary Jan. Uchyliwszy czapki przed Wiktorem,
 Rzecz doń: „Pan Tadeusz był tu dziś z doktorem,
 Pytali się o pana. Wrócą dziś wieczorem,
 Koło północy. Ale! jest tu list do pana.
 Pewnie to panienczka jakaś zakochana
 Pisze ten miły liścik. Oj, znam ja się na tem,
 Bo i sam byłem kiedyś do miłości chwatem!
 Pamiętam raz na Węgrzech — wojennego czasu,
 Gdyśmy pod Temesvarem stali dla popasu,
 Jedna młoda węgierka — sam ogień dziewucha...

Lecz Wiktor, mając w ręku list, już go nie słucha:
 W sercu już mu od dawna huczy zawierucha —

I pragnął ukojenia, jak wody krynicznej.
List — nierozwarty jeszcze — niby prąd magiczny,
Uciszył naraz wszystkie jego trosk zagadki.
Jak dziecko, biegł po schodach. Był to list od matki —
Pisany na papierze niebieskawo-szarym
Atramentem poblakłym, pewnie bardzo starym,
Skąd wilgoć wszystkie czarne barwy wysączyła
I gdzie niejedna mucha żywot zatraciła.
(Buchalterya nim zwykle pisze się domowa)
Lecz list pocziwy. Zawsze w nim te same słowa,
I, jak zawsze jednaki, ożywczy wschód słońca,
Ta sama zawsze matki dusza kochająca.
A że Wiktor, rzucony w duszny wir stołeczny,
Dawno nie słyszał mowy tak ciepło serdecznej;
Że serce mu wichrzyły burze pełne gromu,
Że dawno już nie pisał do matki, do domu —
Szybko biegnie do izby i zapala świecę
I rzuca się w czytanie, jak w świeżą krynicę.
Złamał pieczętkę listu.

„Nie uwierzysz może,
Jak jestem niespokojna, drogi mój Wiktorze,
Co się tam z tobą dzieje w oddalonem mieście.
Nic nie piszesz. O, dzieci, jakież wy jesteście
Niedobre i niewdzięczne! Doprawdy, niegodnie
Postępujesz. W mem sercu nieustanna trwoga,
Co robisz i czy żyjesz? Modlę się do Boga,
Ażebyś był szczęśliwy. Może jesteś chory?...
Napisz mi — a zawołaj najlepsze doktory.
Lecz się. Najpierwszą rzeczą na świecie jest zdrowie
Wolałabym cię jednak mieć tu — w Kirkorowie.

Ale to nasz los: płakać powinna niewiasta.
Dla twego dobra nie chcę sprowadzać cię z miasta,
Ale pamiętaj o nas. Czyś znalazł w kuferku
Chleb i sól, zawinięte w święconym papierku,
Żebyś błogosławieństwo spotkał tam w Warszawie?
Ja wciąż o tobie myślę — i-co chwila prawie
Mówię: Co też on robi? A ty, o, mój Boże!
Tyś zapomniał o matce, zapomniał, Wiktorze.
Ach, nietylko o matce: do ucha ci powiem,
Że jest tutaj panienka, która wążem zdrowiem
Przypłaciła miłczenie twe. Jak śmierć jest blada —
Wiesz kto? Natalcia, córka naszego sąsiada,
Świętej pamięci Pawła. Teraz u nas mieszka.
Dziewczyna to poczciwa, dobra, nie bez mieszka,
Rozumna, pracowita: słowem wymarzona
Dla twej matki synowa, a dla ciebie żona.
Wiesz, jak chciałabym córkę mieć z owej dziewczyny.
Mówię ci, dobra żona jest to skarb jedyny.
Więc pisz, synu, do matki — i parę słów dla niej.
Co robisz — i jak żyjesz — i w jakiej kompanii?
Bo pierwszą rzeczą w świecie dobre towarzystwo.
Leniwi zrodzą w tobie pychę i lenistwo,
A rozpustni obudzą wszystkie złe narowy.
Niepewny mi się zdaje każdy człowiek nowy,
Co to zaraz przyjaciel serdeczny — wylany —
Zwłaszcza mi w wielkiem mieście każdy podejrzany.
Nie daj się więc uwodzić uczuciem nieszczerem:
Mówię ci, każdy trzeci jest tam Robespierem —
I, udając, że jest twym najlepszym kolegą,
Od Boga cię odwiedzie, namówi do złęgo.
Pamiętaj! Napisz także, gdzie jadasz kolacye

I obiady. Najgorsze są te restauracye!
Długo pewnoś już nie jadł dobrego rosolu
I pewno ci już dawno nie dano do stołu
Usmażonej na maśle świeżej wołowiny.
Lepiej jadaj u jakiej porządnej rodziny,
Gdzie gotują uczeni za drobną opłatę.
Przed wyjściem z domu zawsze pij ciepłą herbatę,
Bo możesz się przeziębic. Kazio się kłania
I ściska ciebie. Również i Alinka. Mania
Wyrosła już i ładną panienką się staje.
Mamy w tym roku bardzo liche urodzaje:
Kartofli prawie niema i żyta niewiele —
Dzisiaj praca na roli, smutne to wesele —
Więc ucz się, mój Wiktorze. Mamy tylko ciebie,
Byś cieszył nas w starości, pomógł nam w potrzebie.
Pracuj więc pilnie, módl się do Boga. mój synu;
Bądź oszczędny i strzeż się złych przyjaciół gminu.
Ach, i strzeż się złych kobiet, które gubią młodzież,
Co lubią tylko cukry, tańce, ładną odzież,
Twarz malują burakiem, żyją dla uciechy —
Strzeż się, bo od nich idzie wszelkie zło i grzechy.
Niejeden zginął przez te malowane lalki!
Niechaj tarczą ci będzie imię twej Natalki,
Kochaj ją. Teraz, chłopcze, ściskam cię serdecznie
I po stokroć całuję — i proszę koniecznie,
Byś napisał obszernie — i przytem najszczerzej,
Jak żyjesz, jak się uczysz, wśród jakiej młodzieży,
I czy pamiętasz o nas — i czy grosz oszczędzasz,
I czy pracujesz — i gdzie wieczory przepędzasz:

Wszystko, wszystko mi napisz: tak jak syn do matki,
 Wszystkie myśli, nadzieje, zamiary, wypadki.
 Kochaj nas. Niech cię strzeże Przenajświętsza Panna,
 Pisz. Całuję cię stokroć.

Twoja matka — Anna“

PALINGENCZA.

Przemięły ostateczne
 Tysiąc wieczne dni słoneczne.
 Gorejąca — kula słońca
 Zatraciła złoty żar.
 Cały wszechświat życiem gwarny
 W jakiś pomrok zapadł czarny,
 Wszech-ogrojec planetarny
 Zlodowaciał — zastygł — zmarł.

Jako w puszczy — w noc — szkielety,
 Wokół słońca mkną planety
 W wirze głuchej — zawieruchy
 W nieskończony wieczny mrok.
 Nie zawyją żadne gromy,
 Kiedy w przestwór niewidomy
 Płyną martwych ciał ogromy:
 Zgasł lazurów jasny wzrok.

Wiekuiста noc zapadła
 Na błękitu fal zwierciadła —
 Całunowa — beczuciowa —
 Ostateczna padła noc.

Żadna gwiazda nie lśni złota,
Żaden promień nie migota,
Nie drga żaden dech żywota:
Bytu przemian znikła moc.

Znikły tęcze — zorze — świty,
I zapadły ziemskie byty
W grób żywiołów — w proch popiołów —
W bezpotomny — nędzny pył.
Wysechł jezior błękit srebrny,
Zamilkł lasów szum gędziebny,
Zamikł ptaków chór podniebny,
Zamilkł bój duchowych sił.

Gdzie są wyspy — lądy — morza,
Szczyty górskie — rzeczne łoża,
Gdzie są bory — gdzie potwory,
Które żyły wśród ich puszczy?
Gdy świetlane duchów wzroki,
Gdzie są mędrcy a proroki,
Gdzie Synaju szczyt wysoki,
Gdzie ognisty Boga kuszysz?

Gdzie są duchy te potężne,
Co sięgały w niebosiężne,
Nieujęte — w cień zakłętą
Tajemnicy wiecznej mgły?
Gdzie są te Prometeusze,
Męczenników wielkie dusze —
Prawd nie syte genjusz, —
Co po gromy szły jak lwy?

Gdzie jutrzeńki są majowe,
 Usta dziewic purpurowe?
 Gdzie uśmiechy — win kielichy,
 Pocałunków słodki czar?
 Marmurowe kolumnady,
 Gdzie posągi? gdzie Iliady?
 Trubadurów gdzie ballady?
 Szczebiotliwej dziatwy gwar?

Nicość! Było ludzkie plemię.
 Ale dość już! Opuść ziemię.
 Podnieś czoło — spójrz wokoło —
 W hebanowych planet krąg.
 W te ośleple spójrz etery,
 Zgasł błękitny wzrok Wenery
 I księżyce Zeusa cztery —
 I szkarłaty Marsa łak.

Jak grobowa płynie urna
 Trójpierścienny krąg Saturna
 I księżyce — i mgławice
 Ukrainnych planet dwóch.
 Wirem płyną sarkofagi,
 Gdzie śpi czasów szkielet nagi,
 W noc okropnej Równowagi,
 Która powstrzymuje ruch.

Jeszcze mgnienie tysiącletnie
 Równowaga ruchy przetnie:
 Lodowate — bezskrzydlate
 Płyną cienie próżnych skrzyń.

Idzie noc Najuroczystsza,
Gdy wielkiego Zegarmistrza
Głos przemieni byt na zgliszcza,
Gdy zawoła światu: Zgiń!

Były niegdyś na tych światach
Wielkie ruchy w dawnych latach,
Co się rwały — w ideały,
W tajemnicy wieczną mgłą.
Więc proroki — bohatory
I kapłany śpiewnej liry,
Wielkie Danty i Szekspiry:
Dziś ich dusze — gdzie są — gdzie?

Nieśmiertelne bóstwa pyły,
Czyż się w nicość obróciły
W bezżywotny — bezpowrotny
Mogilniany — czarny gład?
Czyli śpią ukryte ninie
W tajemniczej dusz krainie,
Jako pszczoła śpi w bursztynie,
By się zrodzić jeszcze raz?

Dalej — dalej w świat bez końca:
Za tem słońcem — inne słońca,
Ogniów żyły — planet bryły —
Dziś mogiły: wszędy grób.
W nieskończonej niebios dali
Kilka gwiazd się jeszcze pali,
Ale wokół naszej fali
Cały świat — jak jeden trup!

Takie straszne na mnie padło
 Zagrobowych dni widziadło.
 W tej przestrzeni — wiecznych cieni
 Stałem — jak nicestwa pył.
 Jako wichry mkną Eony
 A w nich w przestwór niezmierny
 Niezmierny — nieskończony
 Zwolna idą cienie brył.

Świat — jak martwych ciał kopalnia.
 Ruch się zwalnia — zwalnia — zwalnia :
 Równowaga — byt przemaga,
 Staje -- staje... Ustał ruch.
 Jako we krwi pulsów bicie,
 W ostatecznych minut zgrzycie
 Ostateczne zgasło życie,
 Ostateczny zamarł duch.

Śmierci — śmierci! czyliż w tobie
 Cel — i nigdyż na tym grobie
 Nad popioły — już anioły
 Nie uderzą w życia dzwon?
 Chwila-wiek: zgasły bryły,
 I zawisły tam gdzie były! —
 Paraliżu głuchej siły
 Nigdyż nie poruszy On?

Naraz — naraz wśród przestworzy
 Słysząc jakiś dreszcz, co tworzy —
 Jakieś tchnienie -- jakieś drżenie,
 Pełne świeżych wiatru wiań.

I ogromny piorunowy,
 Niby nowy hymn odnowy,
 Zabrzmiął wielki głos Jehowy:
Stań się, świecie, większy stań!

.

CYFRA I SŁOWO.

I.

Dwie ma płynie drogami duch niezwalczony człowieczy
 W nieskończoności świat, w otchłani tajemnic i prawd;
 Dwojgiem okien pogląda w treść niewiadomą wszechrzeczy:
 Z nici uplata dwóch — myśli i uczuć swych haft.

Jedna patrzy w teleskop i zbrojna w cyrkla dwa ostrze,
 Zwolna, jak minut bieg — idzie za rzeczą krok w krok:
 Niedba, światy ogromne, czy ziarna piasku najprostsze —
 Lampą rozjaśnia swą wiecznej zasłony mrok.

Druga — anioł skrzydlaty — w tęcze odziany i w gromy —
 Jehowiczny ma głos — królewskich orłów ma lot:
 Jednym rzutem ogarnia — światów dalekich ogromy —
 Cały ogarnia świat — w jednej miłości splot.

Jedna nóż doświadczenia — druga natchnienia ma kwiaty,
 Słowo i Cyfra: dwie — one potęgi są w nas:
 Cyfra z ziemi ku niebu, Słowo mknie z nieba na światy,
 Aż wejdą na ów szczyt, kędy spotkania ich czas!

Sfinksie! Oto nad tobą gwiazda poranna, Lucyfer,
 Świeci z Edypów noc — dwojgiem promiennych swych lamp
 Lampą słów promienistych i — lampą ognistych cyfer;
 Nad twą piersią jak nóż — ksiąg Euklidowych lśni jamb

II.

Nieruchoma potęgo, wieczny, niezmierny kryształ,
 Liczbo, treści bez form, ducha bez twarzy i ócz,
 Cóżo praw wiekuistych, co w wiekuistej swej chwale
 Dały ci światów rząd — i nieskończonych bram klucz!

Matko ruchów słonecznych, co po niezmiennych orbitach
 Płyną w otchłanną dal — koleją elips i kół!
 Złoty wieków zegarze, gwiazdami lśniący w błękitach,
 W tobie zamyka duch — swej nieskończoności pół.

Fundamencie zawisłej w srebrnych obłokach wieżycy,
 Ty, co w piersi masz bronz — i nieomylną masz dłoń!
 Myślicieli pochoduio, lśniąca na wieków tablicy —
 Oświeć badawczy mózg, światło swe zlej na ich skroń!

Gwiazdo, promieniejąca kryształem — lodem — żelazem,
 Ty prowadzisz nasz duch — na walki surowy trud!
 Doświadczenia bogini, tyś wiecznych prawd drogowskazem,
 Twa nieomylna dłoń — do boskich prowadzi nas wrót.

III.

Słowo jest jak płynący z nieba na ziemię cherubin,
 W blaskach świetlanych tęcz. w dźwiękach upojeń i arf!
 Symbol ducha ludzkiego wieczystych z niebem zaślubin
 Pełny wiosennych drgań — pieśni, zapachów i barw!

W niem objawień potęga, drżąca na skrzydłach anielich,
 Spływa w poetów pierś — i w złote dźwięki strun.
 W słodkich wianach zefirów, w pieśniach gołębic i pszczelich
 Słyszy natury głos — wieszczbiarka bożych run!

Wiosnę — dziewicze łona — purpurę zórz i hyacenty —
 Miłość — i bogów moc — i bojów ognisty żar —
 Wszystkie cuda natury — i pełne tajń labirynty:
 Wszystko to przelał wieszcz w pieśni natchnionej czar.

Płyną w otchłań nieznaną przeznaczeń ludzkich korable —
 Huczą odgłosy walk — jęków i łez i skarg —
 Błądzą ludy skrwawione, walczą Kainy i Able,
 Tęsknią w potopów czas do wybawienia ark.

Oto na Helikonach wśród burz i wichru potoków,
 Skróć tajemnicze mgły — i krew, i łzy, i kir —
 Złote arfy zabrzmiały — psalmy natchnionych proroków
 I pieśni słyszał lud — i klął na dźwięki lir.

I słuchały narody — jak brzmiały pieśnią etery —
 I poznawały tajń pierwiastki przez ich pieśń,
 I wołały: Spiewajcie swoje rapsodye — Homery!
 I unieście nasz duch wzwyż ponad ziemską cieśń.

Jako bogów ołtarze są wasze słowa, o mistrze!
 Wy odkrywacie nam — tajemnej prawdy świat:
 W strunach lutni brzmi echo bożego Słowa najczystsze,
 Wasza natchniona pieśń — to nieśmiertelny kwiat!

IV.

Czemuż te tłumy mędrców — czemuż te tłumy poetów
 Z pierśią gdzieś! luczny ból, pełni rozpaczy i łez —
 Idą w świat pełny troski — grobów i turm i szkieletów,
 Idą na świata kres — na niewiadomy kres?

Nieogarniona duchem — śpi dobra matka natura;
 Kryjąc istotę swych tajń, treść swą osłania w mrok;
 Duch wygnany z Edenu — a wokół chmura i chmura —
 Błyśnijcie lampy dwie: niechaj rozjaśni się wzrok!

Ale choć słów tysiące — i cyfr znaleźli tysiące —
 Nieodślōnięta, wciąż tajemna bytu mgła:
 Bo nieznane im wiecznie — w istocie rzeczy żyjące
 Jedyne Słowo to — jedyna Cyfra ta —

Cyfra ta, w której wszystkie cyfry wszechrzeczy się mieszczą —
 Cyfra ta, w której lśni przyrody całej treść:
 Słowo to, w którym wszystkie, lirą wyśpiewane wieszczą,
 Słowa akordem brzmia — najwyższa Boga cześć!

Przyłóż muszlę do ucha — a wszystkie szумы fal morza
 Usłyszysz w perle konch — złączone w jeden szum:
 Tak też w jedynej myśli — żyje ukryta myśl boża,
 Treść miliona cyfr — miliona wieszczych dum!

Jedna — jedyne Cyfro, odkryj się duchem człowieczym!
 Jedno — jedyne Słowo, zabrzmi i odślōń się nam!
 Mamy cyfer tysiące i słów — i wciąż sobie przeczym:
 Stańcie się! Dajcie klucz — do lazurowych bram.

V.

Sfinksie! czy nie napróżno lampy swe Edyp zapala —
 Jakeś zagadką był — tak pozostajesz nią wciąż!
 Próżno Słowo rozbrzmiewa — Cyfra swą pierś wykryształa —
 Duchu! natchnienia żar z doświadczeń lodem wciąż.

Cyfra z ziemi ku niebu — Słowo mknie z nieba na ziemię,
 Ku sobie płyną wciąż — przyjdzie spotkania ich czas!
 Tęskni za tą godziną — duch nasz, gdy niby w Edemie —
 W jedną złączone moc — gwiazdą zapłoną w nas.

Jest daleka wyżyna — wyżyna duchów wybranych,
 Gdzie niemasz granic już dla onych potęg dwóch:
 Kędy Słowo i Cyfra — w bratnich uściskach świetlanych
 Lśnią jako wiecznych prawd jeden jedyny duch!

Tam gdzie Cyfra ze Słowem, gdzie z Cyfrą zlewa się Słowo,
 Tam duchom ludzkim Bóg, tam Bóg objawia się sam!
 Dobra matko, Naturo — bytu wieczysta królowo:
 Prowadź nas na ten szczyt — i odkryj łono swe nam!

Z CYKLU: VITA NOVA.

Znów ja przed tobą klęczący i korny,
 Zbywszy się żalu, goryczy i pychy,
 Złamawszy wichry mej duszy niesfornej —
 W oczy twe patrzę, niby dziecko cichy.

W oczy twe patrzę — w pokorze błagalnej —
 O jeden promień błagam twojej łaski;
 Niech mi znów błysnie ten czar niewidzialny,
 Co wlewał we mnie natchnienia i blaski.

Abyś tem wyżej stanęła nademną,
 Im niżej wola złośliwych przeznaczeń
 Mnie w jakąś otchłań pograżyła ciemną:
 Dałem ci wszystkie rozkosze przebaczeń,

Wszystko, co bóstwu należy się z prawa,
 Łask wywołanie i uśmiech dobroci —
 Wszystko ci dałem, bogini łaskawa;
 Jak drogi klejnot niech to skroń twą złoci.

A ja — przebaczeń i łask twych niegodny
 Duch marnotrawny — na klęczkach dziś stoję —
 Rychło-li z twojej źrenicy pogodnej
 Wybłysnie nowe przeznaczenie moje!

II.

Jak za powietrzem — tak tęskni za tobą
 Duch mój, od piasków Sahary wyschnięty,
 Gdzie dobrowolną okryty żalobą
 Mieszkałem, niby wygnaniec wyklęty.

Nieraz, gdym błądził po owej Saharze,
 Jakieś mię czary łudziły nadzieją:
 Lecz widziadlane to były miraże,
 Które oazą kłamną zielenieją.

Piersz przepalona, usta gorejące,
Próżno łaknęły jednej kropli wody!
Dawnom już nie był na tej kwietniej łące,
Gdzie mego życia jaśniały pogody.

Jak duch zamknięty wśród cieśni więziennej,
Z której powietrze wypędzono miechem:
Do twojej jutrzni tęskniłem wiosennej,
Spaloną piersią, zamarłym oddechem.

Nie raz mi trumna bardziej się stosowna
Zdała, niż życie to — od ciebie zdała:
Boś ty mi była taka nieodzowna,
Jak żar ogniowi, który się rozpala.

Bo jak nie można oddzielić od słońca,
Jego światłości i jego ciepłoty,
Tak ja bez ciebie, o jutrzniu wchodząca,
Istnieć nie mogę: bez własnej istoty.

Stało się jednak, że siebie rozdarłem,
Żem rzucił twoją dziedzinę podniebną —
I żyłem straszmem półżyciem zamarłem,
Bo, jak powietrze jesteś mi potrzebną!

III.

Ty wszystkie cuda mogłaś robić ze mną:
Mogłaś mię porwać w najwyższe błękity,
Mogłaś mię wtrącić w otchłań mroku ciemną,
Zgnieść w proch — i serce umocnić w granity.

Ty mogłaś moją istotę rozszerzać,
Że czułem w sobie bezmiarów królestwo;
Ty mogłaś we mnie jako grom uderzać,
Żem czuł się mniejszy niż samo nicestwo.

Bo taka była twa nademną władza,
Że moje pulsa były twojem tętnem;
Że twoja wola w moją się przeradza,
Że własne życie jest mi niepamiętnem.

Nie własnem życiem żyłem, ale twojem —
Twą duszą żyłem i twoją osobą —
I w końcu dziwnym dwojga serc przestrojem
Straciłem siebie — przestałem być sobą.

Wszystkiem mi byłaś: ołtarzem i panią,
I siostrą moją jedyną — wybraną —
Byłaś mi natchnień bezdenną otchłanią,
Zkąd mogłem czerpać pieśń niewyczerpaną.

Byłaś mi okiem, którem spoglądałem
W przemijające mgły rzeczywistości;
Byłaś mi uchem, przez które słuchałem
Szmerów płynących od nieskończoności.

Od twego smutku płynie ku mnie fala
Wielkiej tkliwości i wielkiej tęsknoty,
W której się miłość wszechistot rozpala,
Jakby się w tobie streściły istoty.

Z twego uśmiechu płynie ku mnie zorza
Świateł radosnych i złotych promieni;
Co moje wszystkie rozświeca bezdroża,
Że pewny szedłbym wśród erebu cieni.

Dziwna to sprawa tak zatracić siebie:
Być jakąś nicią splątanym tajemną
Z duszą, co mieszka w niewiadomem niebie!
Ty wszystkie cuda mogłaś robić ze mną!

IV.

Zdawnam przeczuwał, że napotkam ciebie.
Że taką będziesz, jak cię w snach widziałem:
Gdzie? nie wiem! może w tem nieznanem niebie,
Gdzieś była, zanim oblekłaś się ciałem.

Ja znałem ciebie, nim oko cielesne
Dojrzało ciebie... Szukałem cię wszędy,
Wpatrzony w jutro ludzkości bezkreśne,
Wysłuchany w złote dawnych lat legendy.

Ja miałem rozkaz dany mi z wysoka
Szukać cię w każdej postaci niewieściej —
I w każdym oku szukać twego oka,
W każdym uśmiechu twych uśmiechów treści.

Choć nieraz kobiet całowałem nogi,
Choć nieraz skroń mi pieściła kobieta,
Choć nieraz złudą nęciły mię bogi:
Jak przebudzony wołałem: nie, nie ta!

Zawsze pomiędzy mną i tą istotą,
Co mi na łono pieśczośliwie padła
Był niewidomy przedział, cień... Ty oto
W magnetycznego postaci widziadła.

A kiedym odszedł na pustynie mroku
Twych ust i oczy twych nienasycony:
Choć mi w niejednym raj promieniał oku,
Zawsze-m był — zda się — w lody skryształony.

Nieraz, na przekór tajemniczym głosom
Mówiłem: padnę do kolan dziewczęcia,
Modlitwy śpiewać będę jej niebiosom;
Żal swój ukoję ciepłem jej objęcia.

Przeklnę widziadło, co mię jako zmora
Dusi bez końca... I w gorzkiej spowiedzi
Powiem jej wszystko... Pewnego wieczora
Wyznałem miłość... Lecz był to brzęk miedzi.

Pamiętam dziewczę jedno takie świeże
Jak biała lilia albo wiosny ranek,
Której-by życie mógł złożyć w ofierze
Przeanielony czarem jej kochanek

Tej ja mówiłem z żalem i goryczą,
Jak straszne życie moje poszło kołem:
I, nienawiścią płonąć tajemniczą,
Jej przysięgałem, ciebie przy niej kłamię.

A wtedy ona — jakby tuż przy sobie
Jakiegoś cienia czuła grozę świętą,
Wołała do mnie w bolesnej żałobie:
„Nie mnie ty kochasz, ale tę wyklętą!“

V.

Nie wiesz jak smutne jest życie pieśniarza,
Bo on jest głosem, co woła na puszczy
I woli bożej rozkazy powtarza —
Śród bezechowej niepojęty tłuszczy.

Bóg go porywa w swe niebieskie szranki,
On go nad ziemskie unosi padoły,
Jakieś nadludzkie daje mu kochanki,
Ze srebrzystemi brata go anioły.

Królem jest pieśniarz gwiazd niedotykalnych,
Władcą melodyj nigdy niesłyszanych,
Objawicielem światów niewidzialnych,
Bratem cherubów czystych i świetlanych.

Jak ptak swobodny buja po błękitach,
Od mgieł przeszłości w przyszłości świtanie:
Na niedostępnych chwilę stoi szczytach —
I naraz — pada w bezdenne otchłanie.

O, im był wyżej, tem niżej upada —
Im wyżej w słońcu — tem niżej w pomroce —
Straszliwa czarność duszą mu owłada —
I długie, długie czekają go noce!...

Za ową głuchą walkę nieustanną,
Co mu w cierpieniach każe śnić pogody,
Pod żadną zorzą niema dlań poranną
Żadnego echa i żadnej nagrody.

Nic... Chwila słońca i mroki bez końca —
Chwila w niebiańskim, czarodziejskim świetle
I długa, czarna, nieprzemijająca
Noc... I po ziemi błąka się jak dziecię.

Ten, co niebieskie miał pod sobą duchy,
Co jak bóg drugi rzucał w lazur globy —
Bezsilny stoi — jakby go łańcuchy
Przykuły twarde do ziemskiej żałoby.

I niema — niema szczęścia dla pieśniarza,
Niema dlań w życiu kwiatów i słodyczy;
Twarz jego smutna dziewczyny przeraża,
Jakby zza świata upiór tajemniczy.

O! jedno serce mieć takie na ziemi,
Coby mi było jako pomost z tęczy
Pomiędzy Bogiem a duchy ludzkimi —
Przed takim sercem moja dusza klęczy!

Jedno mieć serce, na którym odpocznie
Duch, gdy go droga utrudzi otchłanna —
By mógł na ziemi spełniać swe wyrocznie,
Takie mieć serce -- hosanna — hosanna!

LATAJĄCY HOLENDER.

I.

Warczą, furczą kołowrotki,
 Toczą, kręcą nić dziewczęta —
 Z cichą falą pieśni słodkiej,
 Naraz dziko zabrzmi Senta:

W mgłach niby widmo blade mknie wśród oceanu fal —
 Wyklęty okręt, żagle swe w błękitną niosąc dal —
 I na burzliwej piersi mórz, wieczyście tak błądzący —
 Płynie ku światłu złotych zórz — holender latający.

I czemuż na wieki zostałem przeklęty,
 I czemu przez morskie się tułam odmeły
 Bez chwili wytchnienia, bez końca?
 Jam wieczny wędrowiec — nie dla mnie grobowiec,
 Nie dla mnie blask tęczy i słońca.

Jam bogom na ucztę ciał dziatwy nie dawał,
 A kiedy zaś prorok u wrót moich stawał —
 Toć jam go nie pędził od proga:
 Więc czemuż mię gnębi — na morskiej, na głębi —
 Odwieczna ta klątwa złowroga?

W zarodzie tej klątwy nosilem już ciemnie,
 Bo ona tajemnie ukryta jest we mnie,
 Ze oto mam piętno jak Kain;

I nigdzie spoczynienia — lecz wieczne błędzenia
Po morzu od krain do krain.

W otchłani mej duszy noc czarna szaleje —
Tęsknota wieczysta w złoconą nadzieję,
Jak w złote gwiazd wieńce przybrana:
Po dzikich bezdrożach — po falach, po morzach —
Ma nawa mknie wciąż opętana.

I wiecznie na fali — na ciemnej, na słonej —
Aż płaczą delfiny — aż płaczą trytony
Mój okręt się błąka ponury
A maszty ma czarne, jak krzyże cmentarne,
A żagle ma z krwawej purpury.

Nie pomnę już kiedy — w ludzkości zaranie
Mój duch na bezdenne się rzucił otchłanie
I odtąd już nigdy nie spocznie:
Bo nie masz tej mocy, coby mi śród nocy
Promienną zabrzmiała wyrocnię.

II.

Zamilcz — przerwij pieśń tę dziką:
Pieśń to straszna niby fali
Ryk, co grobów brzmi muzyką
Ale Senta śpiewa dalej,

Posępny starzec, błędny duch w zadumie wiecznej trwa,
A purpurowych żagli ruch ogarnia sina mgła —
I patrzy w dal, w nieznaną dal — w promyczek gdzieś świecący,
I dalej błądzi pośród fal — holender latający.

Więc nigdy ciemności nie ustać wieczornej?
 I nigdy, ach, nigdy głód zorzy upiorny
 W mej duszy wyklętej nie zaśnie?
 Jam roił przystanie, gdzie kwitnie kochanie,
 Lecz wiem dziś, że sen to i baśnie.

Bo są w mojem sercu miłości ogromy,
 Lecz wróg niewidomy ją rozbił w atomy
 I duch mój w atomy rozbity,
 Nie znajdzie przystani, lecz błądzi w otchłani
 Przez wichry i mroki — w przedświty.

Miłością gorzało me całe jestestwo,
 Kochałem! W miłości mi było królestwo —
 W miłości mych uczuć ognisko;
 I wszystko, co znałem — to wszystko kochałem —
 Co żyje, co cierpi — to wszystko!

Kochałem natury macierzy zielenie
 I żywe stworzenie — i słońca promienie —
 I bogi kochałem nieznanne —
 I ludzkie gromady, co w łez i krwi ślady
 Malują swe drogi świetlane.

I nieraz pijany miłości nektarem —
 Z wszechhytem się w jedność zlewałem jak czarem
 I nie wiem, jak bogom się zdało:
 Zgasili-ż wesele, żem kochał za wiele,
 Czy przeto, żem kochał za mało?

Bo oto mych uczuć gorące płomienie
 W dziewczyny jedynej wpłynęły spojrzenie

I dziewczę mi stało się wszystkim:
 Naturą i światem — ptaszyną i kwiatem —
 Jedynem wśród zjawisk zjawiskiem.

I rzekłbyś, straciłem swą duszę — swą własną
 I wlałem swą istność w jej istność przejasną,
 A dziwny był skutek tej zguby:
 Żem lepszy, mocniejszy — żem czuł się piękniejszy
 W kryształach spojrzenia mej lubej.

III.

Kręcą — kręcą się wrzeciona...
 Śpiewaj pieśń swą — śpiewaj całą —
 Cóż wędrowiec — mów — cóż ona?
 Co się stało — co się stało?

Zaszumiął wiatr, zahuczał grom — jęknęła morska ton.
 Żeglarzu, burzom wierz i mgłom, od oczu dziewię stroń,
 Twój promień zgasł — na okręt siądź — prez wichher
 pływ szumiący —
 Bez win, bez win przeklęty bądź, holendrze latający.

I pieśń się urwała — jak nic co się zrywa —
 Jak serce, gdy pęka i we krwi swej pływa
 I ślepnie na życia promienie.
 I pryska jak mara — miłości tej czara:
 Złudzenie! złudzenie! złudzenie!

I serce mu pękło — i dusza umarła —
 I otchłań mu piekiel swe wrota otwarła...
 Jej imię? i cóż po imieniu?

Czy Lilith czy Lilla — puch skrzydeł motyla —
Płynący po wartkim strumieniu.

I ruszył na morze — na morze głębokie —
Na wyspy dalekie — na lądy szerokie —
Na dzikie piaszczyste pustynie:
I żali się fali, czy miłość jest w dali,
Bo tutaj mu dusza krwią płynie.

I wołał: słuchajcie, bogowie wysocy,
W mem sercu na miłość zabrakło już mocy,
Bo w nici zwątpienia się przedzie.
Za wiele kochało — za wiele płakało —
I nigdy już kochać nie będzie.

Miłości! przekłętą mi będziesz na wieki,
Zatrzymam w twych żarach płynące krwi rzeki
I serce me będzie kamieniem —
I niewiast ponęta mi będzie przekłeta —
I będzie mi baśnią i cieniem.

IV.

Hańba zdradzie zawsze, wszędzie.
Dziewczę duszę ma jaszczurczą —
Nigdyż kochać on nie będzie?
Kołowrotki warczą — furczą...

Chociażbyś marł przez uczuć żar — nie bluźnij mocy ich —
Żeś miłość kłął, nie ujdiesz kar — przekłetyś za ten grzech:
Zejdiesz na ląd co siedem lat — miłości szukający
W złudzeniach wiecznych, póki świat — holendrze latający!

Tak bogi zabrzmiały w błękitach świetlanych
 I zadrżał marynarz od słów niespodzianych
 I mówił: umarłą mam duszę —
 I pójdę w swą drogę — lecz kochać nie mogę,
 Bo miłość ma jedno — katusze.

I tak się zamawiał, że kochać nie może
 I lodem ironii promienie swe boże
 Chciał gasić — i krwawił sam siebie —
 I z dziką rozkoszą — na ciemność macoszą
 Chciał słońce przemienić na niebie.

Zielone niw szlaki — i róże i maki —
 I zorze i tęcze — motyle i ptaki —
 I ludzkie pragnienia i żale
 Naraz mu się mienia — ciemnością, jesienią —
 I nic już nie kochał — nic — wcale?

Zeglarzu ty błędny, coś złożył sny w grobie,
 Kłamałeś okrutnie, kłamałeś sam sobie,
 Kłamałeś, że duch twój ze stali:
 Bo nieugaszony i nienasycony
 Miłości głód serce ci pali.

I odtąd wciąż błądzi po morza głębinie —
 I odtąd, ach, odtąd, gdy siedem lat minie,
 Opuszcza wód morskich odměty —
 I szuka dziewczyny — kochanej, jedynej —
 A grób ma na wieki zamknięty.

Bo śmierć mu odmawia żelaznej swej kosi,
 Dopóki świetlanych gościńców w niebiosy

Dziewczyna mu wierna nie wskaże —
 I w natchnień godzinie — z nim wraz nie popłynie —
 Na morskie dalekie miraże.

VI.

Cienko — cienko nic się przedzie —
 Żeglarz błądzi przez głębiny!
 Czy ratunku dlań nie będzie?
 Czy nie znajdzie swej dziewczyny?

I co siedm lat schodzi na ląd — O, dziewczę, zjaw się, zjaw —
 I płynie — nie wie dokąd, skąd — wśród burz, i skał i raf.
 O, patrzaj, z chaty idzie dym — w obłoki strzelający:
 Jest może dziewczę w domu tym — holendrze latający.

Gdzie nie był — nie błądził — nie rzucał kotwicy.
 Ten morza Ahaswer — ten syn błyskawicy,
 Syn chmur i tęsknoty bez końca?
 Na morzach głębokich — na lądach szerokich —
 W krainach lodowisk i słońca.

Na ziemi indyjskiej, gdzie lasy palm kwitną,
 Nad Nilu był głębią szeroką, błękitną —
 Gdzie Jordan się w gaje upłata —
 W Kartaginy murach, w Hellady marmurach —
 I w Romie — władczyni wszechświata.

I nieraz, gdy błądził po morzach bez końca,
 A zdala drgał zachód purpurą krwi słońca —
 On roił: O, zajdź moje brzemię!

I wołał snu głodny — przez obszar ten wodny:
Na ziemię! na ziemię! na ziemię!

I oto na ziemię nadpływa widziałem —
I w sercu od długiej tęsknoty poblądłem
Nadzieją zapala się nową:
Tu znajdę dziewczynę — z nią razem popłynę,
Gdy słodkie wyrzeczy mi słowo.

I serce mu gore uczuciem różanem,
Wieczyście jednakiem, a wiecznie nieznanem —
Przed nową dziewicą znów klęka —
I do nóg jej pada — i klątwy jej składa —
I serce na nowo mu pęka.

Nie było bo w Indyach — w Egipcie — w Judei.
Ni w żadnej krainie, gdzie widmo nadziei
Mu lśniło, by żar błyskawicy:
W Helladzie ni Romie — nie było widomie
Nie było dlań wiernej dziewicy.

I straszną zawieją mu w sercu szaleją
Pragnienia, co rosną — i giną — i mdleją
I schodzą na głuche bezdroże,
Aż z bólu zawoła: Ach, wyjść z tego koła?
Na morze — na morze — na morze!

I wiecznie na fali — na ciemnej — na słonej,
Aż płaczą delfiny — aż płaczą trytony,
Ów okręt się błąka ponury,
A maszty ma czarne, jak krzyże cmentarne,
A żagle ma z krwawej purpury!

VI.

Zamilcz! Nie się wiję cienka . . .
 Zamilcz — zamilcz! Żeglarz klęka —
 Zamilcz. Słuchać duch się lęka —
 Żeglarzowi serce pęka.

O biada — biada — biada! ten załoga wzniesie krzyk,
 O biada! miłość twa to sen — i sen jak widmo znikł.
 Nieszczęsny twój w miłości los, o kapitanie nasz!
 Masz dziki zwrok, piorunny głos — jak grób ponurą twarz!
 I nieskończony ogrom żądz — nie rojeń nieskończoną.
 Kobieta słucha ciebie, drżąc; — nie pojmie cię jej łono.
 Jej niepojęty straszny jęk, co wstrząsa cię raz wraz —
 Przy tobie w duszy czuje lęk — i zdasz się jej jak głaz.
 Przeklęty bądź — przeklęty bądź — nie żegna ciebie żal,
 Na morze idź — na okręt siądź — i pływ w nieznaną dal,
 Oceanowych łoskot burz — orkanów gęłdźba dzika —
 Żałobny ryk bezdemnych mórz — to ślubna twa muzyka!
 I niby duchów błędny chór — wyklęci marynarze
 Śród czarnych fal i czarnych chmur — w dalekie mkną miraże.
 I na spienionej piersi mórz — wieczyście tak błędzący —
 Płynie ku światłu złotych zórz — holender latający.

Więc płynie wygnaniec na dzikie narody,
 Gdzie w sercach nie zagasł pierwotnej pogody
 Dziewiczy blask żywy i świeży:
 Na Cymbry — na Scyty — na Skandyi gór szczyty —
 Ku Thule — ostatniej rubieży.

Na Cymbrach — na srebrnych śnieżystych wertepach,
 Na Scytach — w zielonych i borach i stepach,

Na Thule, gdzie wulkan się pali —
 Na fjordach — na śniegach — na Gotach, Norwegach—
 On gwiazdę swą widzi z oddali.

Ach, tylko z oddali ta gwiazda ma błyska,
 Bo kiedy już w oczach zaświta mu zbliśka,
 Blednieje i znika i gaśnie —
 I zawsze i wszędzie — zła dola mu przędzie —
 Złudzenia i widma i baśnie.

Bo chociaż wciąż inną spotykał dziewicę —
 Lecz zawsze go jedne czekały łzawnice. . . .

Ach, imię ich, ród ich i plemię?
 I cóż po imieniu? i cóż po plemieniu?
 Dlaczegożom zstępował na ziemię?

Bo, kiedy pierś moja, jak wulkan gorąca,
 W rozrzewnień godzinie tęskniła do słońca,
 Pieszczoty spragniona dziewiczej,
 To usta milczały — a oczy gorzały —
 A serce wzbierało w goryczy.

Więc nigdy nie spocznię? — więc nie masz na ziemi
 Istoty, co ku mnie oczami tkliwemi,
 Jak siostra by dobra patrzała?
 Umarła nadzieja — i czarna zawieja
 Na nowo mą duszę porwała.

Gdzie ona? gdzie ona? O, mówcie mi duchy,
 Wy, którym wiadome tajemne sił ruchy —
 Kołysek i mogił przewroty —

Czy zmarła przed wieki? czy w jutrzni dalekiej —
W przyszłości narodzi się złotej?

A może na innej gdzie żyje planecie,
A może nie ludzką ma postać na świecie,
W gołębiu ukryta lub pszczole?
Czy kwitnie kaliną, czy buja ptaszyną —
Czy żyje w nieznanym żywiole?

O, niemasz jej dla mnie! A jeśli jej niema,
To czemu wciąż błędzę pomiędzy mórz dwiema
I czemuż nie zaznam mogiły?
O śmierci, zejdz ku mnie: spoczynek jest w trumnie.
Gdzie ogniem nie płoną już żyły.

O śmierci, tyś dobra — tyś luba — tyś słodka:
Szczęśliwy, kto w białe dni wiosny napotka
Twych skrzydeł promiennych szelesty.
Nie dla mnie twe cisze — mnie morze kołysze —
Od wieków na wiek już dwudziesty.

A skoro śmierć głucha mych dni nie ogarnie —
To czemu nie wejrzy na moje męczarnie
Tych bogów milczących gromada?
Niech światy przepadną! niech słońca pobladną!
Zagłada — zagłada — zagłada!

Niech ocean wyschnie, jak wydma piaszczysta —
Niech lasy owionie zaraza ognista —
I bydłat niech wymrze nasienie;
A ludzkie siedliska niech runą w zwaliska —
Zniszczenie — zniszczenie — zniszczenie!

Noc ciemna — noc czarna naokół mej głowy.
 Wiatr świszczę — wiatr huczy, jak upiór sfinksowy
 I wiecznie noc taka mnie czeka:
 Przedemną, nademną — ponuro i ciemno —
 ... Ach, znów widzę światło zdaleka!

VII.

Znowu światło — blask mamidła,
 Znów zapłacze żeglarz smutno:
 Warczą — furczą motowidła,
 Białe — białe będzie płótno.
 Szepcze dziewczę do dziewczęcia:
 — Żal mi, żal mi łez tułacza!
 Na nic skargi ni zaklęcia,
 Klątwa bogów nie przebacza.
 — Błądzi — błądzi potępiony.
 — Nigdzie szczęścia — nigdzie dachu!
 — Gdyby w uasze przybył strony!
 — Ach, umarłabym ze strachu.
 — Ach, uciekłabym strwożona.
 ... Kręcą, kręcą się wrzeciona,
 Szepczą trwożne dziewcząt chóry.

O, przybądź, przybądź, na nasz brzeg — o duszo ty ponura!
 Tu czeka ciebie długi wiek — wikingów dzika córą.
 Tu cię powita Senty ła — i uśmiech jej tęskniący,
 Tu klątwa się zakończy twa, holendrze latający.

O, gdybyż usłyszał ten głos, co mu sprzyja —
 Lecz fala się zwija — człek dolę swą mija —
 I okręt się toczy ponury,

A maszty ma czarne, jak krzyże cmentarne,
A żagle ma z krwawej purpury.

I błądzi po morzach — po morzach szerokich —
A światła mu gasną — i w cieniach głębokich
Bez celu — spoczynku i końca —
Przez bogów zakłęcie — na strasznym okręcie —
On płynie do słońca bez słońca.

I łązy osamotnień — i łązy rozczarowań
Truciznę mu leją w rozkosze całowań
I błądzi marynarz wyklęty:
O, przepłyni otchłanie — o, usłysz wołanie —
O, usłysz wołanie twej Senty!

VIII.

Szara przędza ukończona —
Wieczór wschodzi już rumiany —
Spoczną dłonie i wrzecziona,
Będzie płótno z przędzy lnianej.
Potem w słońcu śród murawy
Wybielimy szare płótno.
Dzika Senta w nucie krwawej
Zakończyła pieśń swą smutną.
Ach, popłynął w błędne koło
I nie znalazł odpocznienia
I zasępił białe czoło :
Niema — niema dlań zbawienia!

O jest! — ja czuję — mówię wam — przeminie czarna chmura.
Ja jego ból jak własny znam — wikingów dzika córą!

Słuchajcie, od dziecinnych lat — ja o nim roję wciąż.
Od nianki wiem, że poprzez świat — wyklęty błądzi mąż —
Na ścianie obraz jego tam — o patrz, to on jak żyw —
Jest dlań zbawienie, mówię wam: serc naszych dwojga spływ.
Ja czułam każdy jego dreszcz — i każdy jęk i ból —
I w niewidzialny jakiś kleszcz — mnie ducha wziął ten król!
Bo on mój król był — on mój lew — mój orzeł i mój bóg,
Ku niemu szedł mój każdy śpiew: o nim piorunów huk,
O nim mi łoskot fali brzmiał — i orlich skrzydeł szum,
On we mnie straszną siłę wlał — niepokonanych dum.
Ja kocham cię — ja kocham cię, nieznany, nieznający!
O, mów, gdzie jesteś, mów mi, gdzie — holendrze latający!
O potępieńcze, do mnie pójdz — jam twoja, o ty mój!
O ku mnie skieruj swoją łódź, o ku mnie fale pruj!
... W mgłach niby widmo blade mknie — wśród oceanu fal
Wyklęty okręt, żagle swe w nieznaną niosąc dal.
Zaszumiał wiatr, zahuczał grom, jęknęła morska toń —
Żeglarzu, burzom wierz i mgłom — od oczu dziewię stroń.
Na morze idź, na okręt siądź i pływ przez fal odmęty,
Przeklęty bądź, przeklęty bądź, na wieki bądź przeklęty.
I co siedm lat schodzi na ląd: o, dziewczę, zjaw się, zjaw
I błądzi nie wie, dokąd, skąd — wśród burz i skał i raf.
I co siedm lat, co siedem lat serce mu pęka raz —
Znów mu się w noc odziewa świat — i duch się zmienia w głąz.
Oceanowych łoskot burz — orkanów gędzba dzika —
Żalobny ryk bezdennych mórz — to ślubna twa muzyka.
O pójdz, tułaczu, do mnie pójdz! jam twoja, o ty mój.
O, ku mnie skieruj swolą łódź — o, ku mnie fale pruj.
Tu cię powita Senty łza i uśmiech jej tęskniący —
Tu klątwa się dopełni twa, holendrze latający!
Zaszumiał wiatr, zahuczał grom — jęknęła morska toń —

Oddaj się wichrom, wirom, mgłom — ku burzy serce skłoń.
... Szalony wichur dziko dmie wśród oceanu fal,
Wyklęty okręt żagle swe w nieznaną niesie dal.
I w błyskawicach — gromach — mgłach — w ulewie
deszczu rzek —
Niesie go wir pod Senty dach — na skandynawski brzeg.
Na brzeg norweski niesie go — wir morza głębi wzdętej,
O, pływ z Przeznaczeń swoich mgłą, żeglarzu ty wyklęty!
Drży Senta — w piersi mrze jej dech. Jak dziwny burzy gniew!
Taki tam gromów jęk i śmiech! jakich nadziei śpiew!
Tułaczu, ku mnie fale pruj, o spiesz do mego łona —
Jak nieskończonym duch jest twój, — pierś moja nieskończona!
O potępięcze, do mnie spiesz — niech spełni się twój los.
Usłyszał, Sento! ciesz się, ciesz, usłyszał on twój głos.
Patrz, Sento, patrz, w przystani tam jakież to okręt stoi!
O, jest dlań zorza, mówię wam! to żeglarz pieśni twojej.
Czerwone żagle ma i w kir żałobny maszty strojne —
Rzucony wiecznie w morski wir, sam z sobą toczy wojnę.
I słyszy Senta wrzawny gwar — w przystani — u swych wrót.
W jej oczach mrok, w jej sercu żar, bo oto stał się cud:
Nim straż zagrzmiała w turzy róg, o gościach śpiewający, —
W tęsknocie kląkł u Senty nóg — holender latający!

Z POEMATU.
POGRZEB SHELLEYA.

Scena nad brzegiem morza Śródziemnego, koło miasta Livorna we Włoszech. — Na stosie płoną zwłoki Shelley'a; postaci nadziemskie schodzą ku umarłemu poecie, a naprzód przemawia Słońce.

.
.

Zamilkło słońce i, zda się, że drżało.

Bo drżała jego promienna korona:

Jego kochanka marmurowe ciało

Pyropów lotne ścisnęły ramiona. —

I popielity białosć tych marmurów,

Jeszcze niepewne mocy swej, nieśmiałe,

Aż w końcu, nakształt purpurowych sznurów,

Silnie oplotły jego ręce białe.

Ludzie tonęli w szkarłatach. Płomienie

Zarubiniły trawę aksamitną

I ogień wlały na okół w zielenie,

Aż orchideje purpurowo kwitną.

I wszystkie krople rosy kwiatów w zgrozie

Przed tym pożarem uciekły pogrzebnym,

By się przytulić na obłoku wozie,

Od łez ich łzawym, od ich srebra — srebrnym!

Obłok ten płynął z oddali. Był cichy

I mówił smutny, niby duch rozpaczy,

Co wszystkich cierpień wychylił kielichy,

Aż oto klęskę najwyższą zobaczy:

„Więc mi już nigdy w wędrówce sierocej
 Gwiazda nadziei nie zaśni promienna,
 Że w moich trudów bezpłodnych niemocy
 Jutrznia nadejdzie wiosenna!

Jedyny duchu, coś za burzy rykiem
 Dostrzegął zdala jutrznię na lazurze,
 Ty, coś wesela mego był sternikiem
 I czucie budził w naturze!

Ty, coś jak ja był synem fali srebrnej,
 Z promieniami słońca w hymen połączonej,
 Coś ze mną płakał tej ziemi bezchlebnej
 Słuchaj! Jam osierocony!

Tyś zmarł! O mamże, łzami przesiąknięty,
 Błądzić po niebios żałobnych przestrzeniach,
 Czyli mam rozwiąć się i firmamenty
 Rozognić w głodów płomieniach?

Czy moje skony i me zmartwychwstania,
 Wzajemnych cierpień płynące koleją,
 W tej zorzy dalnej, którą mrok zasłania,
 Nigdy nie rozśloniecznieją?

Od świtu czasu błędzę po niebiosach,
 Zielone gaje przyodziejwam kwiatem
 I żywe soki budzę w złotych kłosach,
 Tęskniąc za wiecznym latem.

Żyły moje własne, od miłości płodne,
 W spiekło ich usta posyłam krynicą:
 Ja nasyciłem te roślinki głodne —
 Niech one ludy nasycą...

.

I wieszcz chciał, zda się, rozkować pyropy,

Wstać i na srebrną lecieć łódź obłoczną,
 Lecz groźny żywioł już mu zwęglił stopy,
 Co wnet popielić się i próchnieć poczną.
 Rozpętał wreszcie ze swych nóg kajdany.
 I przelękniony płomień je porzucił
 I biegł ku oczom. Lecz, morzem oblany
 Błękitnem, cofnął się; ale powrócił
 Jeszcze zuchwalszy i dzikszysy. Do wnętrzy
 Tych dwu widzących okien ducha wkroczył —
 I jał wysysać promienie ich tęczy
 I gryzł łakomie — i barwy ich mroczył.
 Wpijał się w oczy te, jak pasorzyty
 W krew się wpijają — i soki ich sączył
 I w węgiel zmieniał czyste ich błękity
 I wieszcz wyplakać wszystkich łez nie skończył —
 Niewyplakanych łez — a było tyle
 Tych łez, co mieści głodu, nędzy, zbrodni,
 Klęsk, hańby, kajdan — życie, co trwa chwilę.

Łzy jego zbierać przyszedł wiatr zachodni :

Bracie mój! Ja twym duchem będę. Twe marzenia,
 Twe łzy i twoje czucia przeleję w naturę.
 Z ognia wyrwę — w swe własne przetworzę je

[tchnienia

I uniosę jak falę, jak listek, jak chmurę.
 Światy niemi okrążę, jako nicią srebrną
 I treścią ich rozlotnię wszystkich łez gorycze:
 Otworzę wszystkim blaskom krainę podniebną
 I zbratam to, co wrogie, złamię co zbrodnicze!
 I od kraju do kraju, od włości do włości

Iść będę, aby ziemię, pogrążoną we śnie,
 Obudzić i twe słowa powtórzyć ludzkości,
 Aż z omdlenia powstanie, aż z martwoty wskrześnie.
 Niewidzialny, twą pieśnią rozrywając pęta,
 Wejdę do wszystkich mózgow i do serc się wtulę:
 Żadna dla mnie granica nie będzie zamknięta.
 Napróżno moich lotów będą strzedz konsule.
 Wejdę wszędzie. Bezwładnym siłę dam, bezwiednym
 Myśl. Upadłych podniosę. Znękanych pocieszę.
 Światło dam ciemnym. Chleb dam zgłodniałym i
 [biednym.

. Umarłe krzywdy z grobu wskrzeszę!
 Cichym szumem ulęc nad chaty wieśniacze
 I na miejskie poddasza technienie swe poniosę,
 I wszędy, gdzie kto jęczy, i wzdycha i płacze,
 Wejdę i rozplynę się w pocieszenia rosę.
 Do kopalni podziemnych wejdę tam, gdzie gazy
 Trujące palą oddech; gdzie spojrzenie mroczy,
 Pył kruszców; gdzie królestwo jądów i zarazy,
 Tam oczyszczę powietrze i rozjaśnię oczy.
 Wejdę do tych ponurych zamków z krwawej cegły
 Tam, gdzie ku stal topiącej, płomiennej pożodze,
 Po nędzny chleb zgłodniałe gromady przebiegły:
 Otrę im pot ze skroni, technieniem swem ochłodzę.
 Wejdę do zimnej izby studenta, co nocą
 Niezmordowanie czyta Hipokratów księgi,
 Walcząc z nędzą, by w życie wedrzeć się przemocą,
 I pokażę mu nowych ideałów kręgi.
 I wejdę do tych zamków, gdzie tryska w puharach
 Wino; gdzie złote lampy świecą ucztom sutym,
 I ukazę potężnym zamki ich w pożarach,

I przeleczę nad nimi w strzał duszczu zatrutym,
 Bo mój oddech nietylko promień słońca zlewa,
 Lecz płynie też po dżumy zabójczych miazmatach;
 Nietylko niesie morzem budulcowe drzewa,
 Ale też się rozżarza w krwawych łun szkarłatach!
 Bom ja pieśnią skowronka — i orła peanem,
 Bom ja białą chorągwią — i płachtą skrwawioną,
 Bom ja cichym zefirem — i dzikim orkanem,
 Bom ja grobem z potęgą życia utajoną.

Wejdem wszędzie. W postaciach zjawię się ty-
 [siężnych,
 Świadomość rzucę w mózgi. przebudzę naturę.
 I z pieśniami twojemi, w lotach nierozłącznych
 Nieś je będę jak falę, jak listek, jak chmurę!...

I wiatr zachodni w tej płomiennej skarpie
 Mostu, zkąd dusze płyną do Walhali
 Huczy — rzuca się w ogień — pierś mu szarpie,
 Rwie go za bary — i na ziemię wali.
 Lecz znów powstaje ta ogniowa chusta,
 A wiatr przenika przez czerwone rzeki
 W popioły wieszczą. Całuje go w usta
 Długo, jakby chciał zostać z nim na wieki.
 A płomień, wiatru całunków zszerosny,
 Ku ustom biegnie — i zefir odpycha —
 I chce obmotać złocistemi krośny
 Niepokalane te wargi. Więc czyha —
 Syczy — i skacze — i wszystkie swe żary
 Wlewa w te usta, nieme śmiercią wieczną,
 Co ostatniemi jeszcze szepczą gwary,
 Wzywając kogoś skargą bezskuteczną.

Nikt jej nie słyssał... Słyssał ją jedynie
Duch, co ku niemu leciał przez tumany,
W nieśmiertelności żyjący krainie
Alastor... Stał i mówił spłakany:
„O, pójdź ty ze mną ku promiennej Febie!
Kochanek słońca wieczornych niebiosów,
Adonaisa duch czeka na ciebie! ¹⁾

I jak tyś niegdy płakał jego losów,
Tak on dziś płacze ciebie i tak woła:
Pośród żałosnych czarnej Gei głosów

Tyś była głucha na losy anioła,
Uranio, matko, którą każdy atom
Czuje troskliwą u swojego czoła!

Ha, czyliż koniec już słonecznym latom?
Ha, czyliż mroków teraz moc zwycięży?
Na wiekiż ziemia oddana jest katom?

Na wiekiż ziemia jest królestwem węży?
Czy jasnym duchom na niej miejsca niema?
Czy jej bolesny poród myśli cięży?

Czy chce być ciemna, i głucha, i niema?
Zamilkłóż na niej marzeń i swobody,
Płomieni, grobów i życia poema?

¹⁾ Aluzya do elegii Shelley'a „Adonais“, opiewającej śmierć młodego poety Keats'a, twórcy poematu „Endymion“. Elegia zaczyna się wezwaniem Uranii, czemu pozwoliła umrzeć swemu ulubieńcowi.

Rozwianeż mroki? Nasycone głody?
 Zaspokojoneż te żądze szlachetne
 Światła i prawdy?

Nie strach, że rzucają pokolenia setne
 Przekleństwo na te dni ponurych syny,
 Że wielkie duchy zmarły w nich bezdzietnie —

I że przyparci do ziemskiej niziny,
 Nie szturmowali o niebios podwoje,
 Jako Chrystusy, lub jako Kainy?

O, gdzież, Uranio, było ramię twoje,
 Żeś dała zginąć twojemu dziecięciu,
 Co za twe gwiazdy prowadziło boje

I w jednej duszy mieściło ujęciu
 Anioła z skrzydłem śnieżno-białem — Chrysta,
 Z tym, który nosił miecz o krwawem cięciu,

Z Kainem... Gdzieżeś ty była gwiazdzista?
 O, pójdź ty ze mną! Pójdź do Endymiona,
 Tam ciszy zazna twoja dusza czysta —

Tam nieśmiertelna czeka cię korona
 I światłość, która nigdy się nie zmierzchnie,
 Wysnuta z własnej twojej duszy łona...

W jej blasku żadna z twych mar ci nie pierzchnie,
 Bo może tylko pod tych gajów listnią,
 Które zielenią wiecznych sfer powierzchnie,

Może się tylko tam urzeczywistniać
Sny twe...“

I zamilkł Alastor i w zgrozie
Widział, jak krzaku płomiennego różgi,
Urażające uspionej mimozie,
Oczy jej zjadłszy, szły pożerać mózgi.
I płomień wpił się, niby robak wstrętny,
W onego gniazda wielkich myśli zwłoki...
Alastor milczał, jakby czekał smętny,
Czyli nie spadną kropliste obłoki,
By zgasić pożar. Widząc łunę złotą,
Jak gwar tych myśli, co chcą brzmieć, zagłusza,
Spojrzał ku bogom z szyderczą zgryzotą
I jał się modlić do Prometeusza.
I Prometeusz przybiegł.. ¹⁾

KOŁYSANKA

(Z PIEŚNI O NĘDZY).

I.

Spij, moje dziecię! Sen daje ciszę,
Sen troski życia z duszy wypędza;
Lecz ja do innych snów cię kołyszę —
Ja twa piastunka, matka twa -- Nędza,
Ja czuwam wiecznie nad twym snem!

¹⁾ Obłok, wiatr zachodni, Alastor, Prometeusz i inne postaci — są wyjęte z poematów Shelley'a.

Jam cię znalazła nad nędznym ściekiem.
 Jam cię w łachmany swe ogarnęła —
 Karmiła swoim zatrutem mlekiem
 Jad swojej piersi w pierś ci zionęła
 Uścisków mych mogiłnym tchem!

Więc ja ci nie dam rojeń wiosennych,
 Lecz dam ci hańby widziadła czarne,
 Gdzie ujrysz w grozie mroków bezdennych
 Twego żywota wieszczby cmentarne —
 Więc spij, wybrańcze, synu mój!

Śpij w mą zgrzytliwą wsłuchany pieśnię,
 Bo pójdziesz wcześniej — może zawcześniej
 Na bój bez armat i bez kartaczy,
 Bój bez doboszów i bez trębaczy —
 Z głodem na bój!

II.

Jam ci okryła dziecięce łono
 Mego wybraństwa wieczystym kirem;
 Skroń ci obleję łzą potu słoną
 I kaleczącym usypię żwirem
 Czarniejsze twe od nocy dnie!

Żadna tak matka, jak ja, nie kocha!
 Słuchaj — ja zawsze będę przy tobie:
 Kościstą ręką ujęną pieszczocha,
 Zimnym oddechem utulę w grobie
 Nie ujdiesz mnie! nie ujdiesz mnie!

Nie ujdiesz ramion mych ołowianych,
 Próżne twe młoty, próżne oskardy,
 Ja nie opuszczam moich wybranych;
 Wszędzie dosięga uścisk mój twardy
 W snach i na jawie, synu mój!

Więc ja cię we śnie tęczę nie złudzę —
 I nim noc minie, ja cię przebudzę —
 Na bój bez armat i bez kartaczy,
 Bój bez doboszów i bez trębaczy
 Z głodem na bój!

III.

Nie będą tobie śpiewać słowiki,
 Ni gaj zielenią świeżą zaszumi —
 Ty słyszeć będziesz przekleństw okrzyki,
 Stęchłe powietrze oddech ci stłumi,
 A mroki ci zakryją dzień!

Ilekróć zechcesz ludzką mieć duszę,
 • Ja w tobie zbudzę troski bydlęce,
 Ja w tobie myśli wszystkie zagłuszę,
 Spodleniem czucia wszystkie okręcę,
 By duch twój nie miał żywych drgnięń!

Na co ci senne cisze i zorze?
 Ha, nie śpij wcale! I czuwaj we śnie.
 Czcij swe barłogi, czcij swe obroże
 W wiernej macierzy wsłuchany pieśnię!
 Więc nie śpij ty, wybrańcze mój!

Czuwaj i zbudź się — i wdziej łachmany
 I wstań, bo oto już się wezwany
 Na bój bez armat i bez kartaczy,
 Bój bez doboszów i bez trębaczy —
 Z głodem na bój!

PIEŚŃ HUNNÓW.

(Z TRAGEDYI ATYLLA).

Z wichrów poświstem, z piorunów grzmiotem.
 We krwi strumieniach i ogniu łun,
 Wilczym rozpędem, krogulczym lotem,
 Na lekkim koniu w świat pędzi hun!
 Hunny nie znają grodów kamiennych,
 Ni wiedzą, co to socha a pług:
 Łup ich na ostrzu grotów płemiennych,
 Na zdobycz świata wiedzie ich Bóg.
 Nie ma ojczyzny hun światowładny,
 Bo mu ojczyzną cały jest świat,
 Zuchwały, celny, chyży a zdradny,
 Na całą ziemię orkanem spadł.
 Na dzikie stepy, na głucho puszcze,
 Na sioła, miasta, na grzbiety gór,
 Jak potop wałą koczowne tłuszcze,
 I góra stęka — i pęka mur!
 Wszystko jest nasze! wszystko nam łupem,
 A kędy staniem — tam dymy zgliszcz,
 A kto nam wrogiem — rodzi się trupem —
 Dalej więc, hunnie, łam pal i niszc!
 Dwauście królestw haracz nam składa,

Dwanaście koron wieńczy nam skroni :
 Hyperborejskich ludów gromada
 W trwodze nam drżącą podaje dłoń!
 A któż jest władcą narodów tyła,
 Przed kim drżą Czudy, Wendy i Got ?
 Święty bicz boży, wielki Atylla,
 W posady świata wałacy młot !
 Chwała-ć, Atyllo, zniszczenia boże,
 Coś zszedł na ziemię jak boży gniew,
 Za zbrodnie Rzymu — utocz krwi morze,
 Niechaj Rzym pije swą własną krew !
 Hurra, nomady, jak wodospady,
 Ruiny na wielkich cesarów tron —
 Duchy zniszczenia, w grobowe ślady
 Romę ze wszystkich oplećmy stron !
 O, biada Romie ! Romie przekleństwo,
 Dla ciebie gruzy, popiół i dym !
 Chwała Atylli ! Hunnom zwycięztwo —
 Hej, krwi i ognia ! Na Rzym, na Rzym !

E X E G I . . .

Świat zbudowałem sobie jasny i promienny —
 W tajemnicy przed ludźmi, nieznany nikomu :
 Świat na pół rzeczywisty — i na połę senny,
 I żyję w nim i krążę jak po własnym domu.

Są w tym świecie najczystszej miłości ogrody ;
 Są w nim złote księżyce ; są światła magiczne
 Gwiazd, co nigdy nie gasną ; są błękitne wody,
 Co się tam w oceany rozlały mistyczne.

Są w nim zielone łąki, gaje pełne ciszy;
Są zioła czarodziejskich pełne aromatów —
I nigdzie takich pieśni serce nie usłyszy,
Jak tam, w tym najpiękniejszym z wymarzonych światów.

A gdybyś, jako mędrzec, tę wszystką harmonię
Chciał rozłożyć na szczerze — pierwsze elementa:
Znalazłbyś wszystkie jęki, co wrzały w mem łonie,
Wszystko o czem pamięta duch, choć nie pamięta!

Cierpiałem bardzo wiele... może nazbyt wiele —
I nieraz życie z własnej spychało mię drogi:
Lecz wiem, że jest gościniec, co się w niebo ściele —
I wiem, że w onem niebie żyją dobre bogi.

Wiem, przeczuwałem zawsze ten mój świat promienny,
Lecz droga szła ku niemu przez czerwone morze,
Przez głuchy bór milczenia tłuszczy bezimiennej,
Przez skały bezechowe... Z mroku szedłem w zorzę!

Ale kto pragnie wiele, ten uzyska wiele;
Kto wywołuje ducha, ten wywoła ducha:
We krwi jest nowy żywot, we łzach jest wesele —
A milczenie — to wulkan, co naraz wybucha!

Ze wszystkich moich mogił wstałem odrodzony —
I mozem dzisiaj bardziej czysty i dziewiczy,
Niż, gdy świat młodzieńczemi chwycił mię ramiony,
Gdym kochał jady, pełne zawrotnej słodyczy.

I wstałem z wszystkich ugięć nieugięty znowu
I splotłem rzeczywisty mój byt i byt senny —
W modlitwę, gdzie miłości, naturze i słowu
Postawiłem swój kościół jasny i promienny!

Mój świat — którego ludzie może mi zaprzeczą —
I powiedzą obłudnie, że go niema wcale —
Mój świat jest: on jest duchem. on jest żywą rzeczą:
Widzę go, czuję, słyszę — w niepojętej chwale,

Nieraz wychodzę z niego na życiowe żwiry,
Ale wiem, jaka wróci mię ku niemu ścieżka:
I wiem, że choć tu bole dotkną mię i kiry,
Tam — w świecie mym bogini czarodziejka mieszka.

Ona czeka. Gdy przyjdę, uśmiech ma na twarzy,
Gdym długo nieobecny, jakoby w wyrzucie,
Pyta, czemu jej złotych odbiegłem ołtarzy,
A gdy widzi, że smutny, śpiewa w słodkiej nucie.

O, bo ona ma w sobie moc niewyczerpaną
Przebaczenia! Bogini moja, ty wiesz o tem,
Że jeżeli twą ziemię opuszczam świetlaną,
Gdzie wiosna zieloności wiecznym tchnie upłotem:

To nie przeto, że cię zapomniał choć trochę,
Lecz że dla ciebie zbieram na drogach żywota
Męczarnie, w których dusza przedziwnie się kocha,
By zmienić je w promienie z eterów i złota.

A niechaj wyją wichry, niechaj huczą burze,
Niechaj się piorunami niebo rozorkani —
Stoi mój świat nietknięty, jakoby w lazurze
I nic go nie naruszy — i nic go nie zrani.

Natura w nim złożyła siły nadczołowiecze,
Niewyczerpaną młodość, nieskończone życie:
A niechaj wrą płomienie — niech zgrzytają miecze —
On jeszcze zmartwychwstanie w krwi i mieczów zgrzycie!

Rosnącą mocą pragnień podsycany wiecznie —
On coraz szersze mroki dokoła rozpędza:
I świeci mi tęczowo — świeci mi słonecznie
I niczem dlań jest bytu nieskończona nędza!

Upadałem od jęków własnych i niewłasnych —
Zwątpienie jastrzębiami gryzło mię pazury:
Nicość była mi słońcem — i w trwogach niejasnych
Pytałem, po com zeszedł na ten świat ponury!

Nie miałem odpowiedzi... Cały podświetlony
Świat — niemo patrzył na mnie... Zgnębiony milczeniem
Czułem się zbyt samotny — czułem się zbyt czyny,
Marzenie mi pryskało jak mgła za marzeniem.

I oto, gdy mię dusić jęła bezpowietrzność —
Gdym na manowcach — roić przestał już o niebie:
Znalazłem swoją prawdę — swój cel i konieczność —
I swój świat promienisty — i siebie — i siebie!

Oto słońce zabłysło, rozpierzchnęły się mroki,
W powietrzu kryształowa zalsniła mi czystość:
I powstał z mej nicości czarnej i głębokiej
Świat bardziej rzeczywisty niżli rzeczywistość.

Wykąpałem się w marzeń wielkich oceanach
I zawszem w burzach patrzył na gwiazdę polarną:
I muzyka mi brzmiała w dziejowych orkanach —
I pod zieloną darnią dzwoniła cmentarną!

Znalazłem — jak za różgi magicznej ruszeniem
Kalifornię zapału — młodości, nadziei:
Znalazłem żywą wodę, co jasnym strumieniem
Wytryska — wśród tumanów i burz i zawiei!

Byłem ubogi sercem. Dziś jam tak bogaty,
Że zda się niezmierzone skarby w sobie noszę.
I mógłbym je rozsypać w stutysięczne światy,
I jeszcze by mi wielkie zostały rozkosze. —

Stałem ponad wszystką nienawiścią świata —
Jakoby czujny strażnik miłości i ciszy —
I zeszła w moje serce — biała i skrzydlata —
Pieśń. Bogini mi śpiewa. Serce moje słyszy.



SPIS RZECZY.

	Str.
Rym	3
Na Świtezi	8
Powieść o Waligórze i Wyrwidębie	11
Vox posthuma	22
Nie na dzień jeden	32
Z rozmyślań	33
Sonet	34
W imienniku R. D.	31
Młynareczka	35
Scherzo	36
Topola	37
Dąb	39
W lesie	41
Nad stawem	41
Skowronek	43
Fragment	45
Posąg i dziewczyna	48
Wiosenna pieśń	49
Pieśń o pocałunkach	50
Chciałbym	52
Fragment	53
Pytanie	55
Samotność	56
Cienie	57
List matki	60
Palingeneza	64
Cyfra i słowo	69
Z cyklu Vita nova	73
Latający holender	81
Z poematu: Pogrzeb Shelleya	96
Kołysanka (z pieśni o nętlzy)	103
Pieśń Hunnów (z tragedyi Attyla)	105
Exegi	107

102

E * 331597

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT



E * 331597
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
B I B L I O T E K A

101891

Biblioteka WSP Kielce



0160443